MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 8 WARSZAWA, 24 LUTEGO 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

OD DYKTATURY DO CEZARYZMU

I

WNIESIENIE do sejmu przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem projektu nowej konstytucji dla Polski ożywi niewątpliwie rozprawy publiczne nad zagadnieniami ustrojowemi. Do rozpraw tych można podchodzić dwiema drogami — prawno-polityczną i polityczną. Na konstytucję można patrzeć jako na akt prawny, będący dziełem rozumu ludzkiego, oceniać ją z punktu widzenia logiki wewnętrznej, zasad ustalonych przez naukę i przez porównanie z innemi konstytucjami, jakie istnieją dziś i istniały kiedykolwiek w przeszłości. Można jednak patrzeć na ustrój danego kraju, jako na fakt polityczny, jako na ujęcie w formuły prawne istniejących w rzeczywistości stosunków.

Z tego drugiego stanowiska chcemy rozpatrzeć projekt konstytucyjny B. B. Nie tylko dla dogodności, lecz i dla względów zasadniczych. Stoimy na stanowisku de Maistre'a, który powiada, że „*les lois écrites ne sotent jamais que des declarations des droits antérieurs*". Każde państwo posiada swoją „konstytucję naturalną", uwarunkowaną przez geografję, historję, układ społeczny, stosunki gospodarcze, poziom polityczny, stan kulturalny, wreszcie sytuację w świecie międzynarodowym. Konstytucja pisana jest tem lepsza, im bliższa jest tej konstytucji naturalnej. Warto przypomnieć, że dwa państwa, które stawić można jako wzór w dziedzinie zagadnień ustrojowych — Rzym starożytny i W. Brytanja — nie posiadały nigdy konstytucji pisanej!

Trzeba też stwierdzić, że konstytucje nie powstawały drogą twórczości oderwanej od życia, że niemasz najlepszego ustroju dla wszystkich państw i narodów; ustroje polityczne były zawsze zjawiskami politycznemi, były wynikiem walki o władzę, dążenia do utrwalenia się przy władzy, zmieniały się w następstwie zmian politycznych w układzie stosunków wewnętrznych lub konieczności zewnętrznych, były wynikiem nie tyle dociekań myśli, ile doświadczenia żywych ludzi.

II

Tych kilka uwag o zagadnieniu niezmiernie ważnem, które zasługuje na głębsze rozważenie w chwili, gdy na porządku dziennym jest sprawa ustroju Polski, uważaliśmy za konieczne, bez nich bowiem nie byłoby zrozumiałe to, co chcemy powiedzieć o projekcie B. B. jako o pewnym zjawisku politycznym, a nie jako o mniej lub więcej udanej kombinacji myślowej.

Konstytucja marcowa, obowiązująca dotychczas na papierze, nie była i być nie mogła płodem doświadczenia. Państwo polskie zostało powołane do życia po półtorawiekowym niebyciu; w świecie zaszły w ciągu wieku XIX wielkie przemiany i nie było rzeczą możliwą nawiązanie bezpośrednie do wieku XVIII. Można powiedzieć, że nie istniała „konstytucja naturalna", którąby można było ująć w formuły prawne. Trzeba było jednak szukać tych formuł, szukano ich w tradycji Polski niepodległej, we wzorach istniejących w innych krajach współczesnych, w wierzeniach, systemach i nałogach myślowych pokolenia, które odzyskało państwo niepodległe. Tą drogą zbudowana konstytucja pisana musiała być w niezgodzie z „konstytucją naturalną", która układała się w miarę narastania państwa polskiego. Ten konieczny konflikt teorji z życiem doprowadził do katastrofy w r. 1926. Skoro nie zdołano wejść na drogę ewolucyjnego uzgodnienia, na drogę kierowanej myślą świadomą naprawy, doszło do rewolucji, która nie jest jeszcze zakończona i z której jeszcze wyjścia nie widać.

Dla zrozumienia obecnego stanu ustrojowego Polski i ułatwienia sobie dyskusji nad sprawami ustrojowemi trzeba spróbować wprowadzić pewną nomenklaturę i klasyfikację. Pozwoli to nam sięgnąć później do analogij i zaczerpnąć nieco światła z doświadczeń przeszłości. Przekonamy się wówczas, że to, co dziś przeżywamy w Polsce, było już nieraz w przeszłości, że niemasz nic nowego w życiu narodów.

III.

Od maja r. 1926 Polska posiada dyktaturę. Formalnie obowiązuje wciąż jeszcze konstytucja marcowa, istnieją nawet urzędy i instytucje przez tę konstytucję przepisane. Lecz dziecko nawet wie, że w dawne formy została już wlana treść zupełnie nowa i często z temi formami zupełnie niezgodna. Państwo polskie jest rządzone nie przez prawo, lecz przez nieograniczoną wolę jednostki. Nie pierwszy to przykład w historji. Każdy z nas wie z podręczników szkolnych, że przejście od Republiki do Imperjum w Rzymie starożytnym odbyło się w ten sposób, że nowy autokrata nie zmieniał istniejącego ustroju, lecz rządził samowładnie, zachowując wszystkie pozory republikańskie. Pierwsi imperatorowie rzymscy czerpali swą władzę stąd, że byli prokonsulami i trybunami. Upłynęły dwa wieki, zanim formy konstytucyjne zostały całkowicie dostosowane do zmienionej treści ustroju.

Dyktatura wszakże, związana zawsze z życiem jednego człowieka, jest z konieczności formą przejściową w życiu państw. Dyktatura nie wymaga dla utrzymania się zmian prawnych, czerpie bowiem rację swego istnienia nie z prawa, lecz z siły i najczęściej opiera się na wojsku. Każda dyktatura wykazuje tendencję do utrwalenia wytworzonego przez siebie porządku i przedłużenia go poza życie jednostki dyktaturę sprawującej. Wynika to bądź z chęci zapewnienia panowania dziedzicom fizycznym, bądź z chęci utrzymania władzy w rękach ludzi pewnego sposobu myślenia, mających pewien plan prowadzenia spraw państwowych nu dłuższą metę, bądź też wreszcie z elementarnego dążenia do utrzymania się przy władzy i korzystania z płynących stąd korzyści przez grupę, która wydała dyktatora, lub też utworzyła się koło niego, jako narzędzie jego władzy i polityki.

Z tego naturalnego dążenia rządzącej dziś w Polsce grupy do utrwalenia się przy władzy zrodził się projekt konstytucji ułożony przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Tylko z tego punktu widzenia patrząc na ten projekt, możemy go zrozumieć, ocenić i zająć wobec niego stanowisko. Nie daleko by nas zaprowadziło oderwane od rzeczywistości rozważanie artykułów tego projektu, ocenianie ich z punktu widzenia zasad wiedzy prawniczej i nauki o ustrojach państwowych. Trzeba patrzeć na ten projekt jako na zjawisko polityczne, jako na wynik układu rzeczywistych stosunków, jako na środek do osiągnięcia pewnego celu politycznego. Celem tym zaś jest utrzymanie się na dłuższy przeciąg czasu przy władzy tej grupy, która władzę tę dziś trzyma w swem ręku. Jeśli tak patrzeć na rzeczy, to punkt ciężkości dyskusji musi spoczywać nie w oderwanych rozważaniach prawno-politycznych i ustrojowych, lecz w tem, czy obecny system rządzenia wraz ze wszystkiemi jego właściwościami oraz z całym programem, który wprawdzie nie został ogłoszony, lecz który ujawnił się już w życiu, odpowiada interesom narodu polskiego i prowadzi nietylko do utrwalenia istnienia państwa polskiego, lecz do wypełnienia przez państwo polskie jego dziejowych zadań. Pisząc uwagi powyższe zmierzamy przedewszystkiem do tego, by myśl czytelnika sprowadzić na właściwą płaszczyznę, by skierować uwagę jego na to, co jest najważniejsze, co jest istotne.

IV

Na pierwszy rzut oka projekt B. B. jest dość niezwykły, są w nim rzeczy, których nie spotykamy w innych konstytucjach współczesnych. Lecz po bliższem rozpatrzeniu tego projektu dochodzimy do wniosku, że „wszystko to już było“, że ustrój taki mieści się doskonale w istniejącej klasyfikacji.

Cóż bowiem stanowi istotę proponowanego ustroju? Władza całkowita spoczywa w rękach „Prezydenta“, wyznaczonego faktycznie przez grupę rządzącą. Społeczeństwo wybiera swych przedstawicieli przez pięcioprzymiotnikowe głosowanie, rząd jest odpowiedzialny przed parlamentem, lud wybiera prezydenta; są więc wszystkie pozory demokracji. Ludowi nie są odebrane nabyte przez niego prawa, lecz wybrani przez ten lud jego przedstawiciele tak są ograniczeni, że faktycznie nie mogą wykonać ani kontroli nad budżetem, ani też stanowić praw wbrew woli prezydenta. System wyborczy zaś jest tak ułożony, że w rzeczywistości plebiscyt może tylko potwierdzić wybór dokonany przez grupę rządzącą.

Nie będziemy tu cytowali odnośnych artykułów, kto się zapozna z projektem B. B. ten odnajdzie łatwo sposoby zapewnienia niezależności i wszechwładzy prezydenta w przepisach takich, jak wyznaczanie kandydata przez ustępującego prezydenta, mianowanie $1/3$ senatu, ścisłe określenie okresu czasu, w którym ma być załatwiony budżet przez Izby, możność wydawania dekretów o mocy praw w czasie między sesjami sejmowemi, możność podnoszenia podatków o 10%, prawo *veta* prezydenta w stosunku do uchwał parlamentu i t. d.

Taki zaś autokratyzm w połączeniu z pozorami demokracji ma ustalone miano — nazywa się cezaryzmem. Projekt konstytucyjny B. B., mając za zadanie utrwalenie przy władzy rządzącej dziś grupy, zmierza do tego celu przez wprowadzenie w Polsce cezaryzmu pod nazwą rządów prezydenckich. Ustrój w tym projekcie zawarty nie ma bowiem nic wspólnego z t. zw. systemem prezydenckim amerykańskim. Różnica tkwi w sposobie wyboru prezydenta. W Polsce ma to być delegat rządzącej oligarchji, w Stanach Zjednoczonych jest to przedstawiciel jednego z dwóch wielkich stronnictw tam istniejacych. Lud Stanów Zjednoczonych ma realną możność obdarzenia manda-

tem jednego z kandydatów wystawionych przez stronnictwa. Kto zna układ sił w Polsce i odbicie jego w pochodzącym z pięcioprzymiotnikowego głosowania parlamencie, ten wie, że plebiscyt pomyślany przez B. B. byłby tylko czczym pozorem.

IV.

Czy cezaryzm odpowiada interesowi państwa polskiego? Odpowiedź na to pytanie zależy oczywiście od tego, jak się pojmuje interes tego państwa i w jakim kierunku chciałoby się skierować politykę wewnętrzną i zewnętrzną Polski. Zarówno z analizy teoretycznej, jak z zapoznania się z historją państw o ustroju cezarystycznym wynika, że odpowiada on tendencjom radykalnym w polityce, nie da się zaś pogodzić ze stanowiskiem zachowawczem. Udowodnienie twierdzenia powyższego wymaga więcej miejsca, musimy je odłożyć na przyszłość. Ograniczymy się tu do odpowiedzi na jedną narzucającą się objekcję. Może ktoś powiedzieć, że forma ustrojowa nie pozostaje w żadnym zgoła związku z kierunkiem polityki rządu. Tymczasem nam się wydaje, że jest przeciwnie, że z ustroju państwa wynikają z konieczności pewne tendencje polityki państwowej, względnie, że pewien kierunek polityki szuka sobie odpowiednich form ustrojowych. — Oczywiście trzeba tu zrobić pewne zastrzeżenie — nie można porównywać państw o zbyt różnej naturze, zbyt odległych w czasie i miejscu. Popełniłby naprzykład wielki błąd ten, ktoby chciał porównywać Polskę współczesną z Imperjum Rzymskiem, państwo pod wpływem czynników geograficznych, historycznych i politycznych narodowe, z państwem powstałem z podboju całego prawie ówczesnego cywilizowanego świata.

Najbliższym dla nas przykładem cezaryzmu w czasie i przestrzeni jest drugie Cesarstwo we Francji. Na to zaś, jakie miejsce wśród różnego typu ustrojów zajmuje cezaryzm, rzuca jaskrawe światło bardzo rozległa i wyczerpująca dyskusja, jaka na ten temat odbyła się już wielokrotnie we Francji i jaka dziś jeszcze trwa w tym kraju.

Otóż z dyskusji tej wynika, że ustój cezarystyczny aczkolwiek ogranicza lub wręcz usuwa demokrację, sprowadzając ją do czczych pozorów, nie sprzyja jednak oparciu polityki państwowej na zasadach zachowawczych. Z samej jego istoty wynikają towarzyszące mu zawsze takie tendencje, jak centralizm w administracji, etatyzm w dziedzinie stosunków gospodarczych, radykalizm społeczny, rozrzutność w skarbie i niestosowanie zamierzeń do sił i zasobów w polityce zewnętrznej. Jeśli żywioły zachowawcze oświadczają się za cezaryzmem, to biorą pozory za rzeczywistość i współdziałają w ustanawianiu porządku, który wydać musi owoce zgoła inne, niż te, jakich się po nim spodziewają.

STANISŁAW KOZICKI

UGODA LATERAŃSKA

NUNCJUSZ Apostolski w Warszawie, przyjmując powinszowania z okazji podpisania ugody pomiędzy Stolicą Świętą a rządem włoskim, dał kilkakrotnie wyraz miłemu zdziwieniu, że akt ten w społeczeństwie polskiem znajduje tak niespodziewanie silny oddźwięk. Otóż istotnie w żadnym być może kraju zakończenie długoletniego zatargu między papiestwem a królestwem włoskiem nie wywołało tak silnego wrażenia, jak w Polsce właśnie. Stosunek jej do katolicyzmu jest znany. Nietylko od lat tysiąca dochowała mu wierności, lecz nawet najzuchwalsze wzloty jej ducha nie zrywały z nim łączności. Poza tem w Kościele rzymskim przez wiek zgórą niedoli szukała i znajdowała Polska jedyne prawie oparcie i przytułek ostatni. Lecz w tym samym czasie losy narodu włoskiego stały się podobne do naszych. Tak jak my dobijał się on wolności i zjednoczenia. Jak my był ofiarą niemieckich absolutyzmów. Jak my powoływał się na zasadę narodowości. Jak my oglądał się na gwiazdę Napoleonów. Prędzej od nas cel osiągnął. Ale stało się to kosztem tysiącletniej instytucji, jaką było państwo kościelne.

Nietylko wiek czynił ją czcigodną. Była ona zarazem zabezpieczeniem niezaprzeczonych potrzeb powszechnego Kościoła, nie opartego o żadne poszczególne państwo. Stąd dla serc i sumień polskich rozdarcie, które odczuli już podobno legjoniści Kniaziewicza, którem się dręczył szereg najszlachetniejszych umysłów w Polsce, którego doznały całe rzesze pielgrzymów i pobożnych. I otóż nadszedł dzień, w którym czytamy, że „Stolica Św. ogłasza sprawę rzymską za ostatecznie i nieodwołanie rozwiązaną, a zatem wyłączoną i uznaje królestwo włoskie pod dynastją domu sabaudzkiego z Rzymem jako stolicą państwa włoskiego". Zatem z punktu widzenia Kościoła stan anormalny się zakończył i ustąpił stanowi normalnemu, bezprawie jest zmazane, a nastało prawo nowe. Jest się nad czem zadumać i warto sobie uświadomić, co zaszło, co się zmieniło od tak niedawnej przeszłości.

W dniu 11 lutego zawarte zostały dwa układy: traktat polityczny oraz konkordat, w swych zasadniczych rysach, choć nie w dosłownem brzmieniu, podane do wiadomości publicznej. Punktem kulminacyjnym pierwszego jest niewątpliwie przytoczone co dopiero zdanie, zawierające ostateczne uznanie przez Stolicę Apostolską zjednoczenia Włoch. Lecz poza tem daremnieby się szukało w nim jakichś szczegółów budzących sensację. Materjalny stan rzeczy przewidziany w układzie odbiega niezmiernie mało od warunków istniejących już lat blisko 60, koncesje terytorjalne na rzecz „miasta Watykańskiego" są znikome, ofiara finansowa ze strony Włoch niewielka. Papież sam, przemawiając we wtorek zapustny do proboszczów parafij rzymskich, zastrzegł się przeciw wszelkiej myśli o gwarancjach międzynarodowych, a oficjalny niewątpliwie komentator, bo redaktor *„Civiltà Cattolica"* wykluczył przystąpienie Stolicy Św. do Ligi Narodów. Więc niema tu mowy o jakimś fantastycznym powrocie papiestwa do roli świeckiej. W jednym z artykułów traktatu Stolica Św. oświadcza, że „pragnie pozostać i pozostanie obcą wszelkim współzawodnictwom doczesnym pomiędzy innemi państwami i wszelkim zjazdom międzynarodowym, zwoływanym w tym celu".

A jednak było rzeczą niemożliwą do pomyślenia, by Pius XI lekkiem sercem i tylko dla miłej zgody wyrzekł się przeszłości i zaniechał stałego, chociaż nie-

mego protestu przeciw zadanemu Stolicy Apostolskiej gwałtowi, — protestu, w którym po bohatersku wytrwało czterech jego poprzedników. Otóż to, co uzyskał, wielka kompensata za utracone terytorjum mieści się w konkordacie zawartym z królestwem włoskiem. Bo pamiętać trzeba, że królestwo włoskie nietylko odebrało papieżowi jego ziemie, lecz było państwem nawskroś „liberalnem", wrogiem, zaczepnem względem Kościoła. Stosunek pomiędzy tym ostatnim a państwem był stosunkiem zupełnego rozdziału, i to rozdziału nie dokonanego w dobrej wierze, lecz znaczącego się zaborem dóbr kościelnych, sekularyzacją klasztorów, szykanowaniem instytucyj religijnych, wypieraniem religijnych wpływów, a popieraniem wszelkich ruchów rozsadzających i sekciarskich. Historja kiedyś bezspornie rozsądzi, w jakiej mierze ruchy narodowe w 19-ym wieku były popierane, a w jakiej mierze wyzyskiwane tylko przez prądy podziemne, niszczycielskie i rozstrojowe, w których programie brzmiało zawsze stare hasło zagłady Kościoła. W każdym razie włoskie „*risorgimento*" w szczególnej mierze było opanowane przez te prądy. Znajdowało swój wyraz i swe środki działania w sprzysiężeniach Karbonarów pod Mazzinim, w lożach masońskich, w ochotniczych oddziałach Garibaldiego, owianych duchem rewolucyjnym. Szlachetne poglądy wysokiej miary umysłów, jak Manzoni lub Rosmini i dobre chęci mężów stanu, którzy jednak biegu wypadków odmienić nie mogli, jak Cavour, a później Crispi, były niejako wyjątkami potwierdzającemi regułę. I Włochy służyły za przykład integracji narodowej na podłożu rewolucyjnem.

Ta geneza jedności włoskiej pozostawiła na państwie włoskiem piętno, które przetrwało dziesiątki lat, dzielące zajęcie Rzymu od wybuchu wojny światowej, a wiadomo, że po tej wojnie hasła zamętu i społecznego rozstroju wybuchnęły ze zdwojoną siłą i popchnęły Włochy na brzeg przepaści.

Dopiero w zestawieniu z tą przeszłością nabiera należytej wypukłości zawarty obecnie konkordat, który, jak to wynika już z ogłoszonych dotąd szczegółów, przyznaje Kościołowi w państwie włoskiem stanowisko uprzywilejowane, a jego organizacji, działalności i normom prawnym zapewnia najdalej idące uwzględnienie. Przynosi więc uznanie osobowości prawnej kongregacjom religijnym, zastrzega im wolność posiadania i rozporządzania swem mieniem, normuje nauczanie religji w szkołach a opiekę duchowną w wojsku, wreszcie na polu ustawodawstwa małżeńskiego przepisuje bezwzględne uznanie ślubów kościelnych oraz orzeczeń sądów kościelnych przez władze państwowe. Powierzchowne zatem były zdania, wypowiadane przez niektórych pod pierwszem wrażeniem, że Mussolini odniósł ogromne powodzenie, likwidując sprawę rzymską, że natomiast pojąć trudno, jaki ekwiwalent otrzymała Stolica Św. wzamian za tak doniosłe ustępstwo. Otóż ekwiwalent niewątpliwie jest i to niepośledni.

Chłodny zawsze i do wylewów uczuciowych nieskory „*Osservatore Romano*" w wydaniu nadzwyczajnem z 11 lutego tak określa korzyści, jakie wynikają z układu dla Stolicy Św.: „Wierność religji i Kościołowi ojców wzbudzona w synach tego narodu, wśród którego Opatrzność umieściła Stolicę Namiestnika Chrystusowego, czyni stróżem posłannictwa papieskiego cały naród, składa mu w ofierze całą jego potęgę moralną, cnotę żywą, czynną zastępów chrześcijańskich. „Niech Włochy przyjdą do Boga" — powtarzał papież Leon XIII, gdy mu przedstawiano niesłychaną trudność należytego rozwiązania — „a Pan zaradzi". Powtarzał to Pius X, a Pius XI w czyn wprowadził".

Zatem za uznanie władania Włoch w Rzymie osiąga papież wielką reformę prawodawstwa, zdobywa dla katolicyzmu górujące stanowisko w państwie, uzykuje ze strony rządu włoskiego akt o rozstrzygającem znaczeniu, doniosły ponad inne doniosłe reformy, dokonane przez faszyzm, akt więcej niż polityczny, bo stanowcze wyznanie wiary, obwieszczenie duchowych przesłanek i ustalenie najwyższych wytycznych odrodzenia narodowego Włoch.

Stolica Apostolska, przywykła do obliczań wiekowych, czekała z wytrwałością kilka lat dziesiątków na uregulowanie kwestji rzymskiej i doczekała się sposobnej po temu chwili. Po stronie faszyzmu i jego wodza bilans tego wielkiego zdarzenia przedstawia się inaczej. Niespełna lat dziesięć wystarczyło mu, by tak gruntownie przeobrazić duchowe uwarstwienie kraju, zrewidować jego tradycję, odrodzić instynkty, zmienić dążenia, przesunąć orjentacje, że z ojczyzny anarchji i rewolucji, z matecznika konspiracji i wolnomularstwa, przystani burzycielskich marzeń i sekciarskich pomysłów, wyrosło państwo, które samo dziś głosi o sobie, że chce być w świecie przodującą katolicką potęgą („*Corriere d'Italia*" z 11 lutego). Rezultat wręcz nieprawdopodobny i który ma niewiele analogij w dziejach.

Lecz gdy się mówi o zasługach faszyzmu i wielkości Mussoliniego, należy nie zapominać, że „faszyzm" jest zjawiskiem osobliwem, powstałem w przelotnej chwili dziejowej, a wielcy ludzie są zawsze zjawiskiem wyjątkowem. Gdyby tylko te dwa czynniki rozstrzygały o wszystkiem, co się dziś dzieje na półwyspie apenińskim, to zdarzenia te nie mogłyby być nauką dla nikogo, nie mogłyby w innych krajach być nawet przedmiotem rozmyślań. Otóż takich zjawisk zupełnie wyjętych z pod wszelkiej normy niema na świecie, ani być nie może.

To też faszyzm nie jest pozbawiony związku z rzeczywistością krajów innych. Jest on dalszym ciągiem, choć jest zarazem odrodzeniem ruchu narodowego we Włoszech. Jest tego świadom i przy każdej sposobności na to się powołuje. I otóż ten prąd narodowy, niegdyś Kościołowi wrogi, we własnej istocie znalazł dostateczne pobudki do zawarcia w sposób uroczysty i niedwuznaczny ugody z Kościołem. Oczywiście pojmowanie dążeń, potrzeb narodowych może być różne. Ale wielkość Mussoliniego polega na tem właśnie, że je pojmuje głęboko i wnikliwie. I dlatego Mussolini zrozumiał, co zresztą bije z każdego zdania jego przemówień, że naród nie jest materjalnym zlepkiem, ani opisanym kontraktowo syndykatem, ale iściezną duchową, która siłami materjalnemi włada, lecz zasadza się sama na czynnikach niby nieuchwytnych, a wszechpotężnych, na wartościach niby nierealnych, a jednak rozstrzygających — na tak nazwanych „*imponderabiliach*". Otóż do tych „*imponderabiliów*" istotnych, niezbędnych, nieuniknionych, niezaprzeczonych należy religja. — I dlatego każdy ruch narodowy poważnie pojęty musi się z nią spotkać, musi się dodatnio i czynnie do niej ustosunkować. Że to zrozumiał Mussolini, tego dał dowód 11 lutego.

To też nad faktem w tym dniu zaszłym winni się zastanowić ci, którzy w zawołaniach narodowych umieją się dopatrywać tylko brutalnego skrzykiwania się pierwotnych apetytów. Takie nacjonalizmy może i bywały, lecz kto dlatego chce zwalczać wogóle hasło narodowe, ten staje sam na ich poziomie. Na szerokim horyzoncie dziejowym ugoda laterańska nabierze wypukłości i szczególnej wymowy. Więc będzie powiedziane o niej, że wielkie państwo nowożytne,

z ducha narodowego naprawdę odrodzone, pojednało się z Kościołem.

I dlatego w obliczu tego zdarzenia serca polskie, pragnące dla własnej, wskrzeszonej Ojczyzny chwil prawdziwej chwały, wielkich wywyższeń i wielkich pojednań, wtórować będą z wiarą i nadzieją prastaremu hymnowi, który rozległ się triumfalnie na placu Laterańskim, w chwili gdy ukazali się na nim, po podpisaniu układu, szef rządu włoskiego z kardynałem sekretarzem stanu: „*Te Deum laudamus!*"

ADAM ŻÓŁTOWSKI

WOBEC HASŁA SOLIDARYZMU

MÓWIĄC o solidaryzmie, jako odrębnym kierunku społecznym, ma się najczęściej na myśli zasady i postulaty praktyczne, sformułowane przez znanego polityka francuskiego Leona Bourgeois. Zasady te i postulaty stanowią obecnie oficjalny program społeczny radykałów francuskich (*parti radical-socjaliste*) i wogóle całego radykalizmu europejskiego.

Doktryna Leona Bourgeois stosuje do zjawisk społecznych sprawdzian t. zw. sprawiedliwości społecznej, będącej jakgdyby próbą skorygowania solidarności przyrodzonej. Do faktu, jakim jest naturalna łączność i współzależność członków społeczeństwa, przykłada miarę ideału, którym—według niej—powinno być oparcie współżycia ludzi na podstawach rzekomo sprawiedliwości, ściślej zaś biorąc raczej na podstawie idei „równości", mianowicie wyrównania różnic sytuacji życiowej jednostek bardziej przez warunki obdarzonych i bardziej upośledzonych. W tym celu wprowadza Bourgeois pojęcie długu jednostki wobec społeczeństwa, długu, który obciąża każdego od urodzenia i który winien być spłacony.

Praktyczny program społeczny solidaryzmu radykalnego pokrywa się niemal zupełnie z t. zw. programem minimalnym partyj socjalistycznych, które, dodajmy nawiasem, czynią w tym zakresie oczywistą koncesję z klasowości na rzecz solidaryzmu. Różnice natomiast występują w uzasadnieniu. Socjalizm (nowoczesny, marksowski) w celu umotywowania swych żądań na chwilę dzisiejszą (program minimalny), nie ucieka się do rozważań natury moralnej, nie powołuje się na „sprawiedliwość", która jego zdaniem, może być tylko sprawiedliwością względną—klasy panującej, ale wyprowadza swe postulaty społeczne z realnych potrzeb i interesów klas roboczych.

Realizm socjalizmu w traktowaniu konkretnych zagadnień społecznych chwili bieżącej stanowi do pewnego stopnia punkt styczny między nim a nacjonalizmem. Oba te kierunki spoglądają na społeczeństwo ze stanowiska faktu, inaczej atoli fakt ten widzą i oceniają. Dla socjalistów życie społeczne jest wyrazem walki klasowej, dla nacjonalistów — złożonym procesem, zachodzącym w społecznym tworze organicznym, jakim jest naród, na który to proces składają się zarówno pierwiastki walki, jak i pierwiastki współdziałania.

Realizm nacjonalizmu jest też niewątpliwie tem, co go oddala zasadniczo od radykalizmu w rozwiązywaniu zagadnień społecznych. System społeczny w narodowym poglądzie na świat, będący dziś właściwie w stadjum powstawania, oparty jest na realistycznem pojmowaniu życia zbiorowego, gdy, jak już zaznaczono, polityka społeczna radykalizmu opiera się na przesłankach teoretycznych. Punktem wyjścia i najwyższym probierzem wskazań społecznych nacjonalizmu jest realistyczna z istoty swej zasada interesu ogólno-narodowego.

Wzgląd na najwyższe dobro narodu prowadzi nacjonalizm — w dziedzinie społecznej — najczęściej do rozwiązań „solidarystycznych".

Solidaryzm nacjonalizmu jednakże bardzo się różni od solidaryzmu radykalizmu. Ten ostatni jest solidaryzmem zasadniczym, absolutnym, solidaryzmem „samym w sobie", urzeczywistnioną lub raczej założoną „sprawiedliwością społeczną". Pierwszy — jest zespołem wskazań praktycznych, mających na celu regulowanie stosunków między zróżniczkowanemi lecz związanemi ze sobą — a więc solidarnemi — częściami narodowej całości, ze względu na najwyższy interes tej całości. O solidaryzmie nacjonalizmu można — i należy — powiedzieć tylko to, że w życiu społeczeństwa (narodu) stara się nadać przewagę czynnikom łączności, spójności i współdziałania nad czynnikami walki i współzawodnictwa. Polityka społeczna nacjonalizmu o tyle tylko jest solidarystyczną, że dąży do łączenia wysiłków dośrodkowych i do równoważenia usiłowań odśrodkowych. Na tej podstawie nowoczesny nacjonalizm włoski buduje ustrój korporacyjny z jego „pionową" organizacją syndykalistyczną, z jego systemem kontroli nad działalnością pracodawców i pracowników i z jego aparatem regulowania stosunków między pracą a kapitałem.

Reformom w duchu nacjonalistycznym, które urzeczywistnia na terenie Włoch faszyzm, przyświeca właściwa w dziedzinie polityki idea celowości, jednocześnie wszakże osiąga faszyzm większą sprawiedliwość rozkładu ciężarów i dobrodziejstw pomiędzy poszczególnych członków społeczeństwa, wskutek czego suma cierpienia społecznego siłą rzeczy ulega zmniejszeniu, co z kolei czyni zadość postulatom etyki chrześcijańskiej i religji. Wiara nacjonalizmu w moralne źródła życia i świata wogóle, znajduje tu uzasadnienie na drodze doświadczalnej.

*

Wychodząc ze stanowiska realistycznego, solidaryzm narodowy świadomie i celowo ogranicza swój zakres działania do narodu, wśród którego się rozwija. Należy przytem zaznaczyć, że dąży on do regulowania współżycia narodowego na podstawach solidarystycznych w przeświadczeniu, że leży to w interesie społeczeństwa (narodu), ale gotów jest też zaniechać metod „solidarystycznych" gdyby osiągnął pewność, że interes narodowy wymaga rozstrzygnięcia nastręczających się problematów na drodze walki. Tak właśnie postąpił Mussolini, podejmując swój bezkrwawy wprawdzie, ale niemniej rewolucyjny „marsz na Rzym".

Solidaryzm radykalny nie uznaje granic narodowych. Twierdzi, iż stwarzają one przeszkodę w rozwoju solidarności ludzkiej, przytem przeszkodę sztuczną, nieuzasadnioną, którą należy usunąć z drogi „Ludzkości". „Sprawiedliwość społeczna" — jego zdaniem — jest nieosiągalna, dopóki istnieją różnice narodowościowe, ponieważ idea narodu jest ideą wyłączności, niezgodną z postulatem łączności i współdziałania ludzi. W najlepszym razie godzą się niektórzy radykałowie, iż solidaryzm w granicach narodowych może być pożyteczny tylko jako wstęp do „szlachetniejszego" solidaryzmu ogólno-ludzkiego.

Niepodobna odmówić konsekwencji tym poglądom. Wypływają one logicznie z podstawowego dla

solidaryzmu radykalnego postulatu „sprawiedliwości społecznej". Jedno chyba im można zarzucić, że mianowicie samo ich pojęcie „sprawiedliwości społecznej", oparte na jakiejś nieokreślonej, mglistej „religji Ludzkości" z natury rzeczy jest nader płynne i nieuchwytne, wobec czego poglądy te również musi cechować pewna chwiejność.

Lecz nie to nas w tej chwili interesuje. Nie chodzi nam bowiem o krytykę podstaw tak lub inaczej pojmowanego solidaryzmu, lecz o stwierdzenie stanu faktycznego, t. j. o wskazanie jakie są cele ostateczne poszczególnych kierunków solidarystycznych.

Otóż faktem jest, iż solidaryzm jako idea „sama w sobie", reprezentowany przez radykalizm, dążąc do rozwiązania zagadnień społecznych w myśl zasad łączności i współdziałania ludzi, dąży jednocześnie i równolegle do niwelacji różnic narodowościowych, do zniesienia granic narodowych i do rozkładu społeczeństwa narodowego, w ostatecznym zaś wyniku do urzeczywistnienia idei ludzkości beznarodowej. Faktem też jest, że solidaryzm narodowy ogranicza swą rolę do znaczenia metody realizowania postulatów ideologji narodowej, która, jak wiadomo, stawia sobie za cel utrzymanie i rozwój odrębnych społeczeństw narodowych.

Stwierdzenie tych różnic prowadzi do pewnych dalszych konsekwencyj.

*

Wobec zagadnień konkretnych życia społecznego solidaryzm idealistyczny i humanitarny radykałów i solidaryzm realistyczny nacjonalistów zajmują najczęściej stanowiska zbliżone i w praktyce dochodzą niejednokrotnie do zgodnych rozwiązań. Tak np. współpraca angielskich liberałów i „laburzystów" ma — w praktyce o wiele bardziej niż w założeniach — wiele wspólnego z faszyzmem włoskim. „Pokój w przemyśle", organizowany obecnie pod przewodnictwem sir Alfreda Monda na podstawie swobodnego porozumienia i umowy pracodawców z pracownikami, jest biorąc rzecz formalnie tem samem, co pokój społeczny, ustanowiony we Włoszech mocą aktu jednostronnego władzy faszystowskiej. Założenia i cele „kollaboracjonizmu" angielskiego i faszyzmu włoskiego rozchodzą się jednakowoż w wielu punktach. Wobec tego zgodność działania obu tych kierunków na terenie życia praktycznego położona być musi na karb samej dynamiki stosunków. Logika rozwoju tych stosunków prowadzi najwyraźniej do rozwiązań „solidarystycznych". Kto chce pozostać w zgodzie z życiem, musi przystać na takie rozwiązania, bez względu na to, jakim hołduje poglądom.

Wzgląd na życiowe konieczności skłania tedy obecnie socjaldemokrację niemiecką, a za nią inne partje drugiej międzynarodówki do zapomnienia przynajmniej na pewien czas o obowiązującej je zasadzie walki klasowej i do wejścia na drogę jawnego kompromisu z kapitalizmem. Kompromis ten w języku prasy socjalistycznej zowie się niewinnie „demokracją gospodarczą".

Zdawaćby się wobec tego mogło, że skoro samo życie tak pomyślnie kieruje biegiem wypadków, iż nieomal wszyscy łączą się dziś jednomyślnie pod wspólnym sztandarem, którym jest sztandar solidaryzmu, wobec tego można uważać za rzecz obojętną, czy dzieje się to pod przymusem, czy z dobrej woli, czy w myśl takich czy innych intencyj. Pogląd taki może wydać się całkowicie uzasadnionym, zwłaszcza ze stanowiska realizmu politycznego. Jest to jednak niebezpieczne złudzenie.

Życie nie ogranicza się do przejawów zewnętrznych. Obok faktów na kształtowanie się rzeczywistości mają wpływ również idee. W genezie wydarzeń współdziałają zarówno pierwsze, jak i drugie. „*Avant d'être motrice toute idée est d'abord mue et il n'y a pas d'idée qui ne tende à se réaliser par des actes*" — René Johannet — „*Principe des nationalités*"). Realizm istotny tem właśnie różni się od realizmu wulgarnego, że zdaje sobie sprawę z wielkiej roli idej, jako konkretnych czynników rzeczywistości.

Dlatego też obojętność co do tego, kto ma urzeczywistnić postulaty solidaryzmu i jak je ma urzeczywistnić, może być poczytywana wyłącznie jako objaw oportunizmu.

Jak nie jest rzeczą obojętną — biorąc porównawczo — z punktu widzenia np. zwolennika dyktatury, czy demokrację burzy Lenin czy Mussolini, tak nie może być poczytywane za kwestję bez znaczenia, czy hasła łączności i współdziałania ludzkiego wprowadza w życie ten czy inny „solidarystyczny" w praktyce kierunek myśli społecznej.

Biorąc za punkt wyjścia solidaryzm, można przecież, jak już zaznaczono wyżej, budować równie dobrze społeczeństwo narodowe i beznarodowe. A to — każdy przyzna — nie może być dla nikogo sprawą obojętną.

Ścisłe rozróżnianie poszczególnych kierunków solidaryzmu jest rzeczą konieczną, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy idee solidarystyczne stają się wprost modne i kiedy również do zjawisk pospolitych należy „mistyfikacja ideowa" jako środek walki z przeciwnikiem politycznym. SPECTATOR

POLITYKA HANDLOWA POLSKI

DAWID Hume napisał: „Zdaje się, że szlachta polska zachowała tron elekcyjny nie do innego celu, jak tego, ażeby zwyczajnie sprzedawać go najwyższemu licytantowi; jest to prawie jedyny rodzaj handlu, z którym ten naród jest obznajmiony". Chociażbyśmy tu przytoczone przez prof. Rybarskiego[1]) zdanie słynnego filozofa angielskiego uznali za przesadę, zrozumiałą pod piórem syna narodu kupców, nie usuniemy faktu, że Polska w dziejach handlu odegrała rolę nikłą, w stosunku do swej wielkości i położenia niczem nieusprawiedliwioną, a ze względu na losy państwa i narodu fatalną. Samobójstwem ekonomicznem i politycznem było dobrowolne odsunięcie się a następnie przymusowa utrata morza. Dla odparcia tego wyrzutu można zmozajkować i powiększyć wagę nielicznych, drobnych i oderwanych faktów, można deklamacyjnie wzmocnić ich doniosłość, można napisać poetyczną książkę p. t. „Wiatr od morza", wszystkie te jednak sposoby nie zasłonią smutnej prawdy, że ten wiatr rzeczywiście odpychał naszych przodków „od morza". Zwykle zalicza się to do win królów, tymczasem jest to śmiertelny grzech szlachty, która nie wykazała w niczem wielkich zdolności gospodarczych, która gardziła handlem nawet wtedy, kiedy się nim dorywczo zajmowała, która monarchów najbardziej rozumiejących ważność posiadania morza, krępowała w tem dążeniu swojemi krótkowzrocznemi interesami i obezwładniała swoim bezmyślnym oporem. Dziś widzimy ogrom złych skutków tej ślepej polityki, staramy

---

[1]) R. Rybarski: „Handel i polityka Polski w XVI stuleciu" Poznań 1928.

się odzyskać i wyzyskać morze, nie można jednak powiedzieć, ażeby całe społeczeństwo dostatecznie rozumiało ważność popełnionych błędów w przeszłości i doniosłość ich naprawy w przyszłości. Nałóg myślenia i życia wyłącznie lądowego, wytworzony przez wiele stuleci, nie zniknie odrazu nawet pod wpływem najwymowniejszych dowodzeń, ale konieczność zmiany przekonań i upodobań jest zbyt groźną a jej korzyść zbyt wyraźną, ażeby wahanie się mogło trwać długo. Ta potrzeba oddziałania na kierunek opinji narodu i na pośpiech w odrobieniu zaległości historycznej nadaje dziełu prof. Rybarskiego wielkie znaczenie społeczne, niezależnie od wartości naukowej. A ta wartość jest wysoka. Tylko ci, którzy podejmowali podobne prace, wiedzą ile w nich tkwi mozołu, badawczej cierpliwości, nużącego wydobywania i spajania wiadomości rozproszonych po starych aktach, luźnych zapiskach, uszkodzonych lub niedbałych i skąpych dokumentach materjału archiwalnego. Autor podjął ten trud umiejętnie, sumiennie i z wielkiem powodzeniem. Wybrał dla swego studjum wiek XVI dlatego, że handel polski w średniowieczu posiada kilka cennych monografij, podczas gdy to stulecie nie zwróciło dotąd należytej uwagi historyków, pomimo że jest przełomowem, że stanowi początek i podstawę nowego okresu w życiu gospodarczem Polski. W tomie pierwszym (wkrótce ma się ukazać drugi) mówi o technice i kosztach transportu, o rozmaitych przedmiotach handlu— zbożu, drzewie, płodach roślinnych, zwierzętach, mięsie, rybach, surowcach, napojach, soli, metalach i minerałach, towarach przemysłowych, przedstawia strukturę gospodarczą, kreśli obraz kupiectwa krajowego i zagranicznego, polityki handlowej miast i państwa, systemu celnego. Wykład ujęty jest w cyfry i tablice, wydobyte i zestawione ze źródeł archiwalnych. Autor zamyka książkę uwagami ogólnemi. „Nie znamy — powiada — w Polsce polityków, ministrów, którzyby przeszli do historji jako wielcy twórcy nowych kierunków polityki ekonomicznej, co najwyżej możemy wskazać na dobrych i zapobiegliwych administratorów majątku królewskiego, jakim był np. Bonar". Szlachta XVI w. to są ziemianie, którzy całą swoją mądrość i energję gospodarczą zamykają w uprawie roli, lekceważąc inną produkcję, a więc również handel w szerszym zakresie. Najwierniejszym wyrazicielem jej przekonań jest Rej, który mówi, nie domyślając się, ile zaściankowej niedorzeczności mieści się w jego słowach:

„Bom nie bywał na morzu, nie chcę śledzi łowić
Tum jedno po sadzawkach polskich trochę pływał
A na morzu bodaj tam nikt dobry nie bywał"

A Klonowicz do harmonji z nim twierdził:

„Może nie wiedzieć Polak co to morze,
Gdy pilnie orze".

Z tego fatalnego przesądu już znacznie wyleczyliśmy się, ale coś z niego jeszcze w naszych umysłach pozostało.

Prof. Rybarski jest posłem. Uważać to należy za wielką korzyść, że sejm posiada w nim pierwszorzędną siłę, znającą gruntownie sprawy gospodarcze, od których zależy przyszłość Polski, nietylko w obecnym ich stanie, ale również w rozwoju historycznym.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

NOWE DRAMATY K. H. ROSTWOROWSKIEGO

„NIESPODZIANKA" — „CZERWONY MARSZ"

NIE mamy tutaj zamiaru zatrzymywać się nad skandaliczną historją krakowskiego konkursu teatralnego, który dla pewnego gatunku literatów i dziennikarzy stał się pretekstem do załatwiania osobisto-partyjnych porachunków — zbyt znana jest ta kompromitująca kulturę Krakowa sprawa z doniesień dzienników. Nas interesuje tylko ostateczny tego konkursu rezultat, t. j. przedewszytkiem sztuka, która przez sędziów jednomyślnie uznana została za najlepszą i pierwszą nagrodą odznaczona. Sztuką tą jest „Niespodzianka" K. H. Rostworowskiego, przynosząca w koncepcji, stylu i języku tyle cech nowych, ujawniająca tak odrębny w porównaniu z poprzedniemi dramatami tego autora wyraz, że do ostatniej chwili nie można się było domyśleć nazwiska jej twórcy. To też późniejsze stwierdzenie autorstwa K. H. Rostworowskiego było prawdziwą dla sędziów konkursowych niespodzianką.

Opierając się na udzielonych nam informacjach od samego autora, spróbujemy określić ową niespodzianość „Niespodzianki", przejawiającą się, jak to już wspomnieliśmy, głównie w koncepcji i formie sztuki. Co się zaś tyczy szczegółów treści, to te pragnie autor zachować do czasu w tajemnicy, aby i dla publiczności premjerowej „Niespodzianka" nie straciła uroku niespodzianki.

Rzut oka na linję twórczego rozwoju Rostworowskiego uwidocznia nam znamienny przełom, jaki w ostatnich latach dokonał się w twórczości autora „Judasza", a polegający na zastąpieniu dotychczasowych czysto artystycznych założeń pierwszych dramatów zagadnieniami ideowemi: narodowemi („Zmartwychwstanie") czy społeczno-narodowemi („Antychryst"). Skutkiem tego Rostworowski — artysta ustąpił miejsca Rostworowskiemu — publicyście, dramaturg i psycholog — patrjocie i społecznikowi. O tej zmianie frontu twórczego sam autor wypowiada następujące zdanie:

— „Oddalenie się od mojej czysto artystycznej pracy nie było nagłe. Złożyły się na to warunki zewnętrzne (zniszczenie warsztatu pracy przez spłonięcie w czasie wojny dworu rodzinnego wraz z zebraną bibljoteką, notatkami, materjałami), a niemniej i wewnętrzne. Wskrzeszenie Polski obudziło we mnie (długi czas drzemiącego pod stosami książek) czynnego patrjotę. Historja zaczęła się dziać—rok 177 po nar. Chr. zamienił się w rok 1918—a Lugdunum w rzeczpospolitą Lubelską. Co się wówczas ze mną działo!.."

W poecie budzi się przekonanie, iż nadeszły „nowe czasy", w których sztukę musi zawiesić na kołku, a oddać się pracy społecznej. I istotnie z całym zapałem ideowca tej pracy się oddaje. — „Dopóki wierzyłem, — mówi sam Rostworowski o tem odchyleniu się od swego głównego powołania — że potrafię coś zdziałać dla dobra Polski politycznie, dopóty więcej dbałem o Polskę niż o scenę, raczej o Polskę w chałupach i kopalniach, niż o Polskę na scenie."

Wyrazem tej troski obywatelskiej są nietylko dwa ostatnie dramaty Rostworowskiego („Zmartwychwstanie" i „Antychryst"), lecz także jego ożywiona działalność jako prelegenta i publicysty.

„Wystrzeliłem jednak wszystkie naboje,—mówi — na więcej w tej chwili mnie nie stać—niech dalej robią młodzi! I jak przedtem kazało mi sumienie zawiesić sztukę a czynnie służyć ojczyźnie, tak teraz to samo sumienie każe mi mej ojczyźnie służyć przedewszystkiem literacko... Ot poprostu wróciłem do sztuki..."

Owocem tego nawrotu do czysto artystycznych założeń pracy twórczej i do studjów psychologicznych, z których poczęły się pierwsze dramaty Rostworowskiego, jest również „Niespodzianka“, nazwana przez autora „prawdziwem zdarzeniem w czterech odsłonach“. Rzecz oparta jest istotnie na pewnym fakcie rzeczywistym, który nieomal *in crudo* (z małemi tylko zmianami w szczegółach) został w pomyśle dramatu zawarty. Bezpośrednio przed powstaniem „Niespodzianki“ zajęty był Rostworowski gromadzeniem materjału do planowanego dramatu z wielkiej rewolucji francuskiej, kiedy pewnego dnia przybyły z Litwy kuzyn Pusłowski opowiedział mu historję tragedji chłopskiej, która niedawno rozegrała się w jednej ze wsi powiatu słonimskiego. Opowiadanie to tak silne na poecie wywarło wrażenie, że postanowił z historji tej zrobić dramat, do którego pisania natychmiast też się zabrał i to z takim zapałem, iż w niedługim czasie sztuka była gotowa. Aczkolwiek w sztuce tej przedstawił autor środowisko wiejskie, jednakże ujęcie rzeczy dalekie jest od tradycyjnego szablonu t. zw. „sztuk ludowych“, do których Rostworowski nie ma przekonania. Chłopskość występujących w „Niespodziance“ osób zepchnięta została na plan dalszy, podkreślono natomiast ich człowieczeństwo. Bowiem nie o psychologję klasową, chłopską chodzi poecie, lecz o psychologję człowieka. Nie chłopów więc jako takich i nie specjalnie życie chałupy pragnie nam Rostworowski pokazać w swej sztuce, będącej dokumentem życia ludzkiego, dokumentem wieczystych ludzkich namiętności i walk. W głębokiem ujęciu ogólnoludzkiego, wiecznie aktualnego zagadnienia ma sztuka Rostworowskiego coś z surowej powagi starogreckiego dramatu. Stanowi ona rodzaj nowoczesnej tragedji, konflikt ustalonego porządku moralnego z elementarnym instynktem życia wyrażającej. Ten zaś poważny, tragiczny charakter sztuki pozostaje w ścisłym związku z jej chłopskiem środowiskiem. Według Rostworowskiego bowiem do sztuk głęboko dramatycznych nadaje się tylko chłop, on jeden jest życiowo emocjonalnym człowiekiem, on jeden umie jeszcze cierpieć, jak królowie Szekspira, przytem cierpienie staje się dla niego jakiemś niepokonanem *fatum*.

Ponurą tragedję ludzi prostych (a więc tem szczerszych w wyrazie uczuć i bezpośredniejszych w reakcji na nie), tragedję wstrząsającą grozą elementarnych, nie cofających się nawet przed zbrodnią namiętności — ubrał autor w formę oryginalnie swoistą, posługując się zwartym, skupionym, oszczędnym w słowa stylem oraz krzepkim, w miarę w duchu gwarowym stylizowanym językiem prozy, której już oddawna, bo od swych najpierwszych prób dramatycznych nie używał.

Jak już uprzednio nadmieniliśmy nosił się Rostworowski z zamiarem napisania dramatu z wielkiej rewolucji francuskiej, osnutego koło mało znanej ale ciekawej postaci nieubłaganego wroga rewolucji barona de Batza oraz jego pomocnika, niejakiego Chabata, używającego później tytułu barona Schönfelda, w gruncie rzeczy morawskiego Żyda, sprytnego geszefciarza, który potrafił skompromitować szereg działaczów rewolucyjnych, wciągając ich w brudne afery spekulacyjne. Wielki ten dramat miał być poprzedzony prologiem, który jednak w trakcie pisania rozrósł się w zamkniętą dla siebie całość, dającą w szeregu jakoby żywych obrazów syntetyczny skrót dziejów wielkiej rewolucji francuskiej. Z utworem tym, zatytułowanym „Czerwony marsz“, zapoznał autor szerszą publiczność, odczytując go niedawno przed mikrofonem krakowskiej radjostacji oraz ogłaszając kilka drobnych fragmentów w miejscowych dziennikach. „Czerwony marsz“ napisany żywym, rwącym a potoczystym wierszem, w plastyce oraz filmowej kalejdoskopowości raz w raz zmieniających się przed naszemi oczami obrazów, posiada wybitne walory sceniczne, które się muszą uwydatnić przy odpowiedniej interpretacji teatralnej. Poeta prowadzi nas w skłębione mrowisko tłumów, wypełniających jeden z placów Paryża, oświetlony łuną pożogi, na której tle rysuje się potworny kształt gilotyny. Otóż przed tym krwawym symbolem rewolucji przeciąga w koszmarnej defiladzie, aranżerowanej przez Koryfeusza — sankiulota, szereg postaci historycznych i ofiar rewolucyjnego terroru, począwszy od króla, a skończywszy na samych wzajemnie się zwalczających przywódcach rewolucji, nie wyłączając nawet Robespierra.

„Bo suwerenny lud chce chleba,
A oni głód mu dali!
Bo suwerenny lud chce pracy,
A oni pracę zrujnowali!
Bo suwerenny lud chce pokoju,
A oni w mundur go ubrali,
Bo suwerenny lud chce władzy,
A oni nad nim panowali!“

Zamyka tę krwawą defiladę wystąpienie na scenę Napoleona i maszerujących wśród warkotu bębnów grenadjerów. Komedja skończona.

W ten sposób w „Czerwonym marszu“ dał nam Rostworowski potężną w swej scenicznej ekspresji dramatyczną wizję dziejów rewolucji francuskiej, ujętych w barwnym i żywym, jakby filmowym skrócie.

RAJMUND BERGEL

W SALI TRONOWEJ

(Z cyklu „Wawel“).

Tron—jak wyspa—na szmacie czerwonego morza:
purpura to, krwi posmak, złagodzon jedwabnie;
ktoś topiel zbrodził... ktoś tu krzyżem się położył—

ktoś ucałował, wiernie, praojcowską szablę...
i gablotek ją straży oddał. . . .z których patrzy,
zegar zmilkły... bez steru łódź o pustych żaglach—

(Lecz kędy chce—Duch wieje).—W górze, na teatrze
sklepu—Głowy odwieczne śledzą z kasetonów
przechodni tłum ...„Widzicie—gościa—z tych... najrzadszych.

Gościa z sobiepańskiego wędrowców zakonu?—
Po oczach go poznaję! głód wieczny w nich wzbiera:
tam, z pustką się mocuje w świeczników koronach...

Tam, z freskiem się boryka wymownym Dürera—
I nie chce! nie chce! starcem do grobu znijść! nie chce
z pochodem zdarzeń zwykłym w drużbie stanąć szczerej“.

„Co!? plotki o Mnie!? nawet tu!? cóż mi jesteście!?
kukły! skosił was czasów nieuchronny szafot:
a Ja... wam przeciw... liter zgrzyt na palimpseście;

Ja—tu—na starsze od was szedłem auto—da—fe...“
I byłby gadał jeszcze gość. Że srebrem mowa,
za srebrną Wielkość szumną kupujący drachmę...

A w tem go poraziło uciszenie pował:
nikt się z Chrzcicieli onych o cześć nie upomniał;
nie raczył.—Jeno nagle—przed nim—zakrólował

Na tronie... milczeń złotych spełnieniem ogromnem
niezwyciężony hetman szczodrych: Blask Słoneczny.
I ścichło pysznych serce, *spectando omen*. —

ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

LIBERUM VETO

Kobieta powojenna. — Bogini największej rui. — Główny cel jej pragnień. — Konkurs piękności. — Z czterdziestu amatorek: *„miss Polonia"*. — Wieczny sąd Parysa. — Bieda urzędnicza. — Uwaga Mefistofelesa.

POWOJENNA kobieta nie zmieniła i nie ustaliła swojego charakteru i stanowiska społecznego. Jest jakimś gatunkiem przejściowym, nieokreślonym, dziwacznym. Uzyskała pełnię praw obywatelskich, ale nie zrzekła się przywilejów obyczajowych, które dawniej wynagradzały jej brak równouprawnienia, wkroczyła we wszystkie dziedziny pracy i jednocześnie zachowała zwyczaj pasorzytnictwa w stosunku do mężczyzny; nie zerwała z tradycją skromności i ochraniania specjalnej „cnoty", a jednocześnie obnażyła się w ubraniu do bezwstydu i w zabawach do rozpusty; uprawia wszelkie sporty i jednocześnie pokrywa swoją twarz warstwą malowidła. Kim ona właściwie jest, jaką przedstawia wartość umysłową, moralną i społeczną — nikt nie umie powiedzieć. Ażeby stała się rodzajem określonym, odpowiadającym jej naturze, uzdolnieniom i przeznaczeniom, dotąd ani ona sama, ani ogół ludzki świata kulturalnego prawie wcale nie myśli i pozostawia proces przemiany dziwoląga na człowieka naturalnemu rozwojowi, niezależnemu od starań planowych. Samo życie ma załatwić tę sprawę.

Tymczasem występują objawy, urągające dokonanej emancypacji. Z wyjątkiem bardzo nielicznych czarnowidzów, przyznających wyższość urodzie męskiej i nazywających np. biust żeński przednim garbem, panuje powszechne przekonanie, że najdoskonalszą postacią piękna jest piękna kobieta. Ani natura, ani sztuka nie stworzyły nic równie uroczego. To też poezja, rzeźba, malarstwo, związki, stosunki, dążenia, zabiegi ludzkie, wszystkie wzloty genjuszu i wysiłki energji człowieka składają jej hołdy i uczestniczą w kulcie dla niej. Żadne bóstwo nie ma tylu czcicieli. Ale wielki ten dar natury zamknął w sobie główne pragnienia kobiety, zobojętnił ją na najważniejsze sprawy i cele życia. Dla osiągnięcia i utrzymania tego daru gotowa ona zaniedbać najświętsze obowiązki, odwrócić swoją uwagę od najwyższych zadań, dopuścić się przestępstw, zejść na najniższy poziom upodlenia. Dla zdobycia jednego stroju, sukni, klejnotu, modnego kapelusza lub pończoch niejedna sprzeda swe ciało najwstrętniejszemu nabywcy. Daremnie emancypantki wywalczyły dla niej rozszerzenie granic życia i daremnie rewolucje i przewroty polityczne zrównały ją w prawach z mężczyznami i otworzyły jej wszystkie dotąd zamknięte dziedziny pracy; nawet gdy skorzystała z tego wyzwolenia, nie przestała dbać nadewszystko o to, ażeby być ładną i podobać się. Oczywiście nie stara się o to jedna na sto, która stanowi wyjątek, ale 99, które stanowią regułę. Zdawało się, że po wojnie, po otrzymaniu pełni praw obywatelskich, po bezpośredniem zetknięciu się z najważniejszemi zagadnieniami życia, owa normalna, typowa kobieta zmieni się, że tak powiem, zczłowieczeje. Stało się przeciwnie. Ulegając najsilniejszemu popędowi swojej istoty, zużytkowała zdobytą swobodę w kierunku zwiększenia ponęt zmysłowych i podrażnień wrażliwości płciowej mężczyzn. W tym celu zredukowała swoje ubranie na ulicy, jeszcze więcej w salonie, a prawie zupełnie rozebrała się na widok publiczny w miejscach kąpielowych.

Jednym z przejawów tej tendencji są konkursy piękności, urządzane w innych krajach a obecnie u nas. Czy wyobrażacie sobie, ażeby do konkursu takiego stanęli mężczyźni? Zapewne znaleźliby się amatorzy, ale chyba śród tych, którzy nie znają godności i wstydu. Tymczasem na pokaz kobiety zgłosiły się panny przyzwoite. Nie przeszło im nawet przez myśl, że odegrały taką samą rolę, jak wystawione jałówki, kury lub owce, które również oceniane są ze stanowiska piękności i za nią nagradzane, że również jak te, i one nie są badane co do rozumu i charakteru, tylko co do urody. Triumf dla zwierząt wielki, ale dla ludzi mały. A właściwie żaden. Do redakcji brukowego dziennika, która urządziła ten niezaszczytny konkurs i złożyła z kilku bezprzysięgłych sąd, zgłosiło się 40 kandydatek, z których wybrano jedną jako najpiękniejszą. Miała ona z tytułem *„miss Polonia"* wziąć udział w podobnym konkursie międzynarodowym. Nie potrzeba żadnego wywodu, ażeby wykazać wartość dyplomu laureatki wybranej z 40 amatorek i odznaczonej przez kilku jegomościów. Takie świadectwo wystarczyłoby może w wyborze „królowej" jednego *„dancingu"* lub jednego miasteczka, ale nie w stosunku do kilkunastu miljonów kobiet. To też niezawodnie każdy z czytelników, obejrzawszy fotografje konkurentek, zapewniłby, że wskazałby legjon daleko piękniejszych, niż *„miss Polonia"*, która ma przedstawiać światu najpiękniejszą Polkę.

Niech nikt zgorszony tą farsą nie zapisze jej na rachunek spekulacyjnego przedsięwzięcia jednej gazety i naiwności gronka panienek, *„miss Polonia"* bowiem była przedmiotem zachwytów i hołdów publicznych, co już trzeba wpisać na rachunek społeczeństwa i co jest najgorszą stroną tego widowiska. Zawsze więcej łakniemy *„circenses"*, niż *„panem"*, igrzysk, niż chleba. Objawiamy ten gust we wszystkich dziedzinach, nawet w polityce. Dodać trzeba, że w poniżeniu się moralnem kobiety, w jej bezmyślnych staraniach o zdobienie swego ciała, w jej zatracie uczuć szlachetniejszych i oszpeceniu charakteru winowajcą jest również mężczyzna, który jej na tej pochyłości nie powstrzymuje, a nawet po niej spycha. Sąd Parysa, który ofiarował jabłko nie Herze, obiecującej mu władzę i bogactwo, nie Atenie, obiecującej mu mądrość, lecz powabnej Afrodycie, albo sąd areopagu, przed którym adwokat obnażył rozpustną Fryne i widokiem jej pięknego ciała uzyskał uniewinniający wyrok — te sądy męskie trwają dotąd. Nie dziwno też, że Afrodyta jest boginią kobiet, a Fryne ich wzorem.

Od wielu miesięcy brzmią w prasie, na wiecach i osobnych zebraniach skargi na nędzne uposażenie urzędników, których niedolę pogarsza codzień wzrastająca drożyzna. Dziwnym obrotem sprawy najgorętszymi ich obrońcami nie są stronnictwa rządowe, ale narodowcy, przeciwnicy rządu, nazywani przez prasę liberyjną „wrogami państwa" (co zresztą jest zupełnie słusznem, o ile przez „państwo" rozumiemy rozkazodawców i karmicieli tucznej służby). Łudzono deputacje biedaków, pozbawionych jedynej skutecznej broni w walce o chleb, prawa strajku, czułemi obietnicami, spodziewali się oni sprawiedliwości od sejmu przy uchwalaniu budżetu, łaska pańska, zgodnie z przysłowiem, odjechała na pstrym koniu. Nie mogło być inaczej. Za wiele pieniędzy potrzeba na fundusze dyspozycyjne, na podarki dla faworytów, na kosztowne umeblowania mieszkań dygnitarzów, skupy bankrutujących fabryk i inne „konieczności państwowe". A przytem najradykalniejsi demokraci w sejmie nie znoszą oszczędności w gospodarce rządowej. Oni mają szerokie ręce do brania, więc żądają, ażeby były szerokie ręce do dawania. Skutkiem tego w naszej administracji — oczywiście na szczeblach niższych i średnich

— panuje taki dostatek, że niektórzy z urzędników, gdyby tylko mieli czas i odpowiednie ubranie do stania w ogonku na ulicy, korzystaliby z gorących zupek dobroczynnych, rozdawanych na ulicach i ogrzewaliby się przy koszach z węglami. Ale to ubóstwo nie ogranicza się do samych strapień osobistych. Do licho wynagradzanej pracy zgłasza się materjał ludzki pośledniego gatunku, który w inny sposób zarobkować nie może i umie tylko pisać, pisać i pisać. Nietylko jest on niezdolny do załatwiania spraw szybko i umiejętnie, ale się boi odpowiedzialności i utraty miejsca. Miesiącami i latami ciągną się w urzędach sprawy proste, łatwe, wymagające pośpiechu. Całe bowiem dolne i średnie ciało naszej administracji ciągle unika stanowczej decyzji i drży — drży z obawy popełnienia błędu i — co jeszcze niebezpieczniejsze — niedociągnięcia się do miary prawomyślności. Ten ostatni wzgląd działa jeszcze silniej, niż pierwszy. Bo czy można załatwić sprawnie i pomyślnie interesanta bez dokładnej wiadomości, jakie on ma przekonania polityczne? A nuż jest narodowcem? Niech czeka, aż się wyraźniej zarysuje lub przedstawi jakiś „dowód osobisty". W każdym razie zwłoka jest mniej ryzykowna, niż pośpiech. My starsi pamiętamy, że tak nie zwlekali, nie dygotali i nie mieli na ciele tak gęstej gęsiej skórki nawet urzędnicy rosyjscy z czasów najsurowszego przestrzegania „*niebłagonadiożnosti*", jak nasi konstytucyjni i — za pozwoleniem — sanacyjni.

Wiem, coby powiedział Mefistofeles, gdyby usłyszał żale na nędzne uposażenia naszych urzędników:

— Owszem, wyjednajcie im wyższe pensje, wtedy wszystkie posady dostaną się sanatorom.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

Ś. P. PROF. STANISŁAW BĄDZYŃSKI

KIEDY trzy lata temu świat naukowy polski w auli Uniwersytetu warszawskiego czcił 25-ciolecie pracy uniwersyteckiej i 37-lecie działalności naukowej prof. Stanisława Bądzyńskiego, składając mu między innemi w hołdzie od Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika osobny tom „Kosmosu", zawierający nowe prace jego uczniów, nie przypuszczaliśmy, że w tak krótkim czasie rozstanie się z nami ten człowiek, który swą pracą naukową i siłą charakteru był chlubą naszej Ojczyzny.

12 lutego w mroźny dzień srogiej obecnej zimy, jego uczniowie ponieśli go na swych barkach na cmentarz powązkowski, w otoczeniu przedstawicieli wyższych uczelni warszawskich, których imieniem ze względu na wyjątkowe warunki atmosferyczne przemówił ks. prof. dziekan Bukowski, podnosząc wiedzę swego kolegi i równocześnie pokorę, z którą pojednał się z Bogiem.

Stanisław Bądzyński pochodził z ziemiańskiej rodziny, zdawna osiadłej na Podlasiu. Ur. w r. 1862 we wsi Czekanowie pow. Sokołowskiego, gimnazjum ukończył w Siedlcach wśród niebywałego ucisku rusyfikacyjnego, a w r. 1881 wstąpił na wydział przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie poznał i zaprzyjaźnił się z młodym przyrodnikiem, Romanem Dmowskim. W 1883 r. został wydalony za działalność polityczną z Uniwersytetu i wezwany do stawienia się z losowania do poboru, od którego uwolnił go szczęśliwy los. Przeniósł się do Lwowa, gdzie studjował chemję u prof. Radziszewskiego, następnie w Szwajcarji u prof. Bungego, Marćelego Nenckiego, Eichorsta, w Heidelbergu u prof. Schrödera, w Lipsku u znakomitego fizjologa prof. K. Ludwiga. Należał bowiem do tego pokolenia młodych, którzy rzucili niegościnne progi Uniwersytetu Warszawskiego i szukali słońca oraz ciepła wiedzy w wielkich jej ogniskach. Nie kto inny, tylko oni przez swój wysiłek, entuzjazm, zaparcie się własne, brak wyrachowania zbudowali dzisiejszą wiedzę, którą w Polsce zastała wiosna niepodległości i zjednoczenia!

Stanisław Bądzyński był jednym z najpiękniejszych typów tego pokolenia. Jego jasny umysł miał dużo inicjatywy i syntetycznego ujęcia, jego zamiłowanie prawdy płynęło z czystej krynicy jego charakteru, jego patrjotyzm tkwił w głębokich warstwach polskiej rasy. O jego działalności naukowej pisałem w dniu jubileuszu ś. p. profesora. Trudno w krótkim szkicu o niej pisać. Wynika z poglądu na jego prace w zakresie chemji fizjologicznej, że głównym rysem twórczości naukowej ś. p. St. Bądzyńskiego była samodzielność. Od początku swej działalności okazał się on umysłem nawskroś oryginalnym, głównie zazdrosnym o to, aby pomysł zasadniczy był jego własnym pomysłem. Nie jemu dawano tematy, lecz on je dawał, jeszcze jako skromny asystent zagranicznych pracowni. Pociągała go chemja jestestw żywych. Wykładał ją długie lata na Uniwersytecie Lwowskim, gdzie powstało w jego pracowni ognisko żywej wiedzy, z którego wyszedł szereg uczniów. Tam, we Lwowie, dokonane zostały najważniejsze prace. Od r. 1920 przeniósł się do stolicy i tu także zdołał wychować szereg młodych sił. Gdy w Wilnie na początku XIX stulecia wzeszła gwiazda znakomitego wielkopolanina i ojca chemji fizjologicznej, Jędrzeja Śniadeckiego, gwiazda, która bynajmniej dotąd nie zbladła, w czasach renesansu wiedzy przyrodniczej w Polsce do tej gwiazdy przyłączyła się cała plejada gwiazd innych: Marceli Nencki, Emil Godlewski (senjor), Leon Marchlewski i Stanisław Bądzyński. Wszystkich tych badaczów pociąga statyka i dynamika zjawisk życia, to słowo tajemnicze, które, będąc uogólnieniem faktów konkretnych, mieści w sobie wieloznaczne objawy rzeczywistości, ta dziedzina badań, która najbardziej każe podziwiać umysłowi ludzkiemu dzieło Stwórcy.

Nauka nie oderwała Stanisława Bądzyńskiego od zagadnień polityki narodowej, zamiłowania do sztuki i nowszych prądów literatury. Za młodu brał udział w życiu politycznem, w tajnym Związku Młodzieży Polskiej, który tyle pokoleń wychował. Związany serdeczną przyjaźnią osobistą i polityczną z Romanem Dmowskim i Zygmuntem Balickim, był czynnym członkiem Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego i zawsze zwolennikiem ruchu wszechpolskiego.

Gdy przyszła Wielka Wojna, na straży naszej pracowni lwowskiej pozostał sam prof. Bądzyński. Z jego asystentów i pracowników jedni zmarli na wojnie w walce z epidemjami, jak ś. p. dr. S. Mostowski i dr. S. Kozłowski, inni poszli na front, jak dr. M. Gawiński, dr. J. Browiński, zmarły przed rokiem profesor Uniwersytetu Poznańskiego, oraz dr. T. Zwisłocki. Profesor umiał z godnością bronić pracowni i Uniwersytetu Lwowskiego w czasie inwazji rosyjskiej, a z jeszcze większą odwagą cywilną bronił imienia polskiego po nawrocie okupacji austrjackiej. W ogniu wypadków miał sąd niezwykle jasny, moc charakteru, nawet upór podlaski. Należał do tego grona działaczy narodowych, którzy ze ś. p. Janem Kasprowiczem, Aleksandrem hr. Skarbkiem, Tadeuszem Cieńskim i nami młodszymi, dziś już na stanowiskach publicznych, na sobotnich poufnych zebraniach u ś. p. Marszałka Albina Rayskiego prostowali polityczną linję polską, zachwianą w Galicji pod wpływem zaślepienia wiedeńskiego i austrofilizmu, którego szczególnym był nieprzyjacielem. W tem niezapomnianem gronie, na początku 1917 r. powstała inicjatywa przygotowania i przeprowadzenia uchwał ma-

jowych w Krakowie za zjednoczeniem i niepodległością wszystkich ziem polskich. W listopadzie 1918 r., w czasie obrony Lwowa był członkiem Komitetu Narodowego i objął kierownictwo spraw sanitarnych, powierzonych mu przez dowództwo obrony. W walkach lwowskich brał udział jego nieletni syn, uczeń gimnazjalny Stefek, który następnie w r. 1920 zginął na Wołyniu, odznaczony krzyżem Walecznych i *Virtuti Militari*.

W prof. Bądzyńskim, którego byłem długoletnim asystentem, uczniem, współpracownikiem, była zniewalająca skromność wielkiego badacza przyrody. Porównywałem go z „Ubogim rybakiem" ze sławnego obrazu paryskiego Puvis de Chavannes. W ciszy swojej pracowni stawał on nieśmiały, bez cienia zarozumiałości, przed otwartą księgą przyrody, jak ów rybak stoi nad rzeką, która płynie z jakiegoś życiodajnego źródła przez szarozieloną ruń łąki w bezkresną dal. Podobny raczej do ucznia, co „światów bezmiary" chce „w miernej dowidzieć kropelce", niż do poważnego i pewnego siebie mentora, pozbawiony cech „ziemi", więc pychy, rzekomej wszechwiedzy ludzkiej, doktrynerstwa, a ożywiony silnym duchem i wiarą w głęboki sens nauki, życia świata.

Różnie na ludzi można patrzeć. Oceniać ich według uzdolnień — tak się czyni zwykle. Rzadziej według wartości moralnych i duchowych. Jedne i drugie były u ś. p. prof. St. Bądzyńskiego niezwykłe. W nauce dał swoją miarę, którą oceniły nasze najwyższe instytucje naukowe i wysoko ceniła zagranica. Ale ci, którzy znali w nim człowieka, nie mogli go nietylko nie kochać, ale i nie czcić głęboko. W społeczeństwie, gdzie kaprys i zmienność usposobień i przekonań są tak powszechne, Stanisław Bądzyński wyróżniał się karnością zewnątrzną i wewnętrzną, mimo tkliwości uczuć wiernością przekonań, prawością, odwagą, z jaką umiał, i to jak bardzo wymownie mimo swego milczącego usposobienia, bronić najwyższych wartości w nauce i życiu publicznem. Te cechy granitowego charakteru wycisnęły na jego myślącej twarzy pewien rys jednolitości, powagi, skupienia. Dlatego wszystko, co czynił, czynił na serjo, z pełnem poczuciem odpowiedzialności i niczego więcej nie cierpiał, jak owych igraszek, jakie się w Polsce robi z przekonaniami, zajęciami, obowiązkami, kiedy życie traci się na wszystkiem i na niczem. Ten wielki przyrodnik poświęcił się dociekaniu prawdy w badaniach nad istotą życia ustrojów żywych. Na dnie tych dociekań ujrzał wreszcie tę Prawdę, idąc ku Niej przez długie lata poprzez naukowy materjalizm i pozytywizm. Gdy odchodził od nas, był pojednany z myślą o Źródle najwyższej oraz wiecznej Prawdy i Życia. Dobrze i wiernie Jej służył...

STEFAN DĄBROWSKI

ZIELONY BALONIK

Z PRAWDZIWĄ przykrością czytujemy fejletony Boya-Żeleńskiego w jednym z brukowych dzienników warszawskich, mające wyraźny charakter propagandy antyreligijnej. Wystąpienia jego od pewnego czasu noszą na sobie piętno przepisowej akcji przeciwko Kościołowi i religji, akcji prowadzonej przez masonerję na komendę w krajach cywilizowanych, a w Rosji bolszewickiej przybierającej brutalną postać „bezbożnictwa". Robotę tę wykonywają wszędzie Żydzi, a po za nimi arjowie, mający przymieszkę krwi żydowskiej. Nie zwraca się ona przeciwko religji starego zakonu, ma ona na oku jedynie chrześcijaństwo.

Że p. Żeleński wziął się do tej roboty tak systematycznie, to robi złe wrażenie. Raz z powodu, że plącze w to piękne nazwisko, a powtóre że osobiście nie ma odrobiny dobrego smaku, który obowiązuje również w działalności społecznej. Trzeba zwątpić o sobie, jako estecie, aby się przerzucić do publicystyki dla operowania takiem wolnomyślicielstwem nalewkowskiem w kraju przecież polskim, który sprawy religijne traktuje zupełnie inną metodą.

Przedtem p. Żeleński zwątpił o sobie, jako o lekarzu, przerzucając się do literatury. Czy chciał nasze dusze uzdrawiać swoją literaturą? Czy teraz znowu chce przeprowadzić sanację kultury i stosunków społecznych, jako publicysta? Im głębiej będzie brnął w sprawy duchowe społeczeństwa, tem gruntowniej będzie się demaskował, że jest degeneratem. Z cynizmu nie można robić punktu wyjścia dla programów społecznych.

Gdyby p. Żeleński, mógł mieć choć trochę na punkcie społecznym samokrytycyzmu, dawnoby już zwątpił o sobie jako o lekarzu społecznym. Uprzytomniłby sobie swoją rolę krakowską, kiedy jako krytyk i kierownik Zielonego Balonika wytwarzał dla tego miasta salon towarzyski i nadawał ton życiu umysłowemu inteligencji. Spostrzegłby, że robił tylko to, co „Bocian" robił dla klas mniej wybrednych. Kiedyś w Sodomie zaczynało się pewno od takich samych rzeczy.

Na czem polega zła opinja o Krakowie? Nie na tem, że tam to i owo zdarzyło się zdrożnego, ale na tem, że inteligencja tego miasta nie jest zdolna do żadnych reakcyj etycznych. Tam niczemu się nie dziwią, tam nic nie gorszy — wszystko, we wszystkich dziedzinach jest możliwe. Cynizmu nauczył Boy.

Radzilibyśmy zrobić ankietę: czy jest na kuli ziemskiej miasto, w którem możliwe byłoby takie pismo, jak „Bocian". Mieliśmy niedawno numer tego pisma w ręku i jesteśmy przekonani, że gdyby kto w Warszawie takie dowcipy powtarzał w towarzystwie kokot, to oneby zaprotestowały. Doszło tam w pornografji do wulgarności rynsztokowej. Na takiem piśmie w Krakowie kształci się młodzież. Zielony Balonik tę samą atmosferę wytworzył dla inteligencji, dając początek kabaretowemu traktowaniu wszystkich zjawisk i zagadnień. Czy co stawiono na miejsce rzeczy potrąconych i przewróconych. Nie. Była to żydowska robota destrukcyjna. P. Żeleński przeniósł teraz tę samą metodę do systematycznych robót masonerji na terenie walki religijnej. Znieprawia Warszawę.

Kraków chorował na wielkomiejskość. Pochodziło to z wyjątkowej roli, jaką podczas rozbiorów to miasto odgrywało w Polsce. Pozór wielkomiejski nadawała rozpusta, która jednak w Warszawie czy Wiedniu ginie w całości, a małe miasto przeżera do szpiku kości. Rozpusta nie tylko zmysłów, ale wyobrażeń etycznych i politycznych. Tam się żyło nieprawością, jako strawą powszechną. Przypomnijmy proces damy, która zamordowała adwokata, — jak to było roztrząsane w prasie! Teraz ubawiło się miasto, gdy inna dama obcięła komuś język. Jaki to był dzień uroczysty, gdy na ulicy mordowano ułanów! Wszystko to zabawa, jak w Zielonym Baloniku.

Boy, narzucając małemu miastu swój cynizm, sparaliżował odporność chrześcijańskiego Krakowa i żydowszczyzna zapanowała w nim niepodzielnie. W uznaniu tych zasług masonerja powierzyła mu rolę poprowadzenia Nalewek na Warszawę. Tupet jednak może zrobić zawód powiatowemu bezbożnikowi, bo tutaj trudniej skupić świat koło balonika.

A przytem jakże to czuć naftaliną i cebulą!

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

ROZWIĄZANIE SPRAWY RZYMSKIEJ

DZIEŃ 11 lutego r. b. będzie nazwany datą historyczną. Podpisy złożone na akcie porozumienia przez kardynała Gasparri'ego i Mussoliniego stwierdziły fakt, który będzie miał liczne i wielostronne następstwa w życiu państw i narodów.

Już dziś, gdy jeszcze są nam nieznane teksty, można snuć przewidywań pasmo długie. Układ odbije się na wewnętrznem życiu Kościoła i na jego stosunkach z państwami. Wewnętrzny rozwój Włoch odbywać się będzie w nowej atmosferze moralnej. Na nowe tory wchodzi stosunek Kościoła do ideologji nacjonalistycznej a obozu narodowego do Kościoła...

Na tem miejscu obchodzą nas przedewszystkiem następstwa polityczne porozumienia między Kościołem a Włochami. Otóż jest rzeczą jasną, że Włochy odnoszą przez załatwienie sprawy rzymskiej cały szereg bardzo wydatnych korzyści. Wśród tych korzyści najważniejsza jest ta, że Włochy mogą dziś aspirować do wysunięcia się na pierwsze miejsce wśród narodów katolickich. Do tego czasu mimo swej polityki antykościelnej miała za sobą tradycję dziejową i rzeczywistą rolę w świecie współczesnym Francja. Dziś Włochy zajmują pierwsze miejsce przed Francją, sięgną też niewątpliwie śmiałą ręką po prymat wśród narodów łacińskich i katolickich. Świadomość tego przebija z poniższych słów, zamieszczonych w rzymskim dzienniku *„Il Tevere"*:

„Należy powiedzieć otwarcie i jasno komentatorom z poza Alp, że Włochy mają świadomość misji religijnej, danej im przez to, że są jedynem wielkiem mocarstwem katolickiem świata. Nie Francja, kraj katolicki, lecz będący republiką laiczną, ateuszowską, masońską, nie Niemcy luterańskie, nie W. Brytanja anglikańska, nie małe narody katolickie, nie posiadające odpowiedniego *prestige*'u, lecz tylko Włochy, kraj świętych i doktorów, mogą się stać najstarszą córą Kościoła. Świat potrzebuje apostolstwa świeckiego i może go uzyskać tylko w postaci narodu, który odbija światło Rzymu".

Ambicje podobne nakładają niewątpliwie na naród, który je posiada, bardzo duże obowiązki, lecz dają narodowi takiemu równocześnie wielkie korzyści. Włochy współczesne mają daleko sięgające ambicje i nie obawiają się odpowiedzialności. Występują na wielu polach do współzawodnictwa z Francją. Z punktu widzenia narodu katolickiego, wychowanego w świetle i cieple kultury łacińskiej, nie widzielibyśmy w tem współzawodnictwie nic złego, lecz tylko o tyle, o ile zmierza ono do ostatecznego porozumienia i o ile służyć będzie wielkiemu zadaniu obrony kultury łacińskiej przed grożącemi jej dziś niebezpieczeństwami.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

„ISKRY"

„ISKRY" są tygodnikiem dla młodzieży w wieku przełomowym. Są bardzo starannie i umiejętnie redagowane przez p. Wł. Kopczewskiego. Redaktor usiłuje nie tylko dawać urozmaiconą rozrywkę i strawę umysłową, ale i oddziaływać wychowawczo na czytelników.

Gdy przyszły ciężkie chwile przewrotu majowego, „Iskry" uszanowały wstrząs uczuciowy, jakiego doznała wrażliwa młodzież na widok bratniej krwi na ulicach stolicy, nie podały żadnej wzmianki o bolesnym fakcie, pozwalając każdemu przeżywać go po swojemu. Do r. 1928 nie spotkało się też tam nic, coby mogło wzbudzić wrażenie nieszczerości lub pochlebiania panującemu kierunkowi. W roku ubiegłym zaszła jednak pod tym względem radykalna zmiana. Czy to nacisk zewnętrzny sprawił, czy wewnętrzna potrzeba — czy przekonanie, że okres 2 lat wystarcza w Polsce, by uznać za niebyłe fakty wszystkim dobrze znane, lub że kagańce już dość silnie są nałożone—trudno to odgadnąć, dość że w tym roku zaczęło się ustawiczne wspominanie o ministrze Piłsudskim, w tonie przypominającym prasę rządową, posiadającą swoiste źródła entuzjazmu. A to w drobnych wiadomościach „Z całej Polski" notatka o odsłonięciu pomnika min. Piłsudskiego w Modlinie i t. p., a to odpowiedni zwrot panegiryczny w artykule o Belwederze w dzień listopadowy, a to komentarz do „konkursu dla historyków" (który m. i. zawiera pytania: o 10 najwybitniejszych osobistości w dziejach Polski i o najulubieńszą postać historyczną), a to znów żartobliwy artykuł harcerski p. t. „Amerykanin robi wywiad", gdzie *pointe*'ą jest to, że dziennikarz amerykański nie zna żadnego innego nazwiska z Polski prócz jednego.

Po wyborach do sejmu (Nr. 16 z dn. 31.III) w artykule p. t. „Rozpoczęła się doniosła praca", czytać można było w „Iskrach" co następuje:

„Wybory 4 i 11 marca dały wyraz woli narodu. W nowowybranym Sejmie i Senacie znalazły odbicie nowe ustosunkowania się politycznych kierunków w państwie. Trzeci Sejm i Senat mają inne oblicze, niż drugi. Nic dziwnego. Życie w miejscu nie stoi. Zmalała w izbach ustawodawczych ta grupa, która dawniej zajmowała pierwsze miejsce, na pierwsze zaś miejsce wysunęła się nowa grupa ludzi, którzy z nowem przyszli hasłem. Nie rozbrzmiewało ono przy poprzednich wyborach: hasło „współpracy z marszałkiem Piłsudskim".

Zaś w Nr. 15 z dn. 24.III znaleźli czytelnicy patetyczny opis „imienin wodza" p. t. „Ze wszystkich stron Najjaśniejszej..." W długiej i natchnionej litanji wyliczał artykuł tych, którzy — z woli lub poniewoli— „śpieszyli" z życzeniami, hołdami i darami do Belwederu, gdzie jednak „hołd i dary odbierał nie sam solenizant, lecz w jego zastępstwie szef gabinetu wojsk. płk. Prystor w otoczeniu adjutantów", gdy tymczasem minister Piłsudski przed dworkiem w Sulejówku przyjmował 116 drużyn, stających do zawodów marszowych:

„Zatęsknili już wszyscy do wielkości, zbudziła się na nowo tak sercu ludzkiemu przyrodzona potrzeba otaczania hołdem i czcią kogoś lepszego, większego, wyższego. I tęsknota ta ogarnia coraz szerszej wszystkich. Wobec niej milknąć nawet muszą niechęci, uprzedzenia, zwątpienia. Bo wrodzoną cechą człowieka szlachetnego jest poszukiwanie ideału. Nie może bez niego dłużej żyć. Gdyby go brakowało, musiałby go sobie stworzyć. Bo tego domaga się sama natura ducha ludzkiego...

Takie uczucia pobudzały do żywego tętna serca w i e l u w dniu św. Józefa, gdy dzień ten przeradzał się w jakąś manifestację narodową. Hołd — składany jednostce — był wtedy hołdem twórczej sile Narodu. Dlatego było w tem tyle entuzjazmu".

Autor artykułu stwierdza sam, że w i e l u t. j. nie wszyscy doznawali wyrażanych przezeń uczuć. Jako subtelny wychowawca i znawca duszy młodzieży powinien był wiedzieć, jakie są uczucia tych innych w i e l u, którzy byli wbrew swym przekonaniom zmuszeni do uczestniczenia w manifestacji i tych, którzy w niej nie brali udziału, jak naprzykład młodzież akademicka. Jako człowiek, widzący rzeczywistość obecną, nie mógł nie wiedzieć, że wypowiadanie zdań przeciwnych jest uniemożliwione, albo też narazić może na poważne przykrości, gdy tymczasem wszelkie „wierne służby" bywają realnie nagradzane. Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że redakcja „Iskier" czyniła starania o subwencje, ogłoszenia, lub polecenia; uznajemy, że w 1928 mogło wzmóc się napięcie jej uczuć „pierwszobrygadowych" do tego stopnia, że musiało się aż wylać w słowach. Ale jeśli się chce być wychowawcą inteligencji, to jednak obowiązuje pewna miara subtelności uczuć.

J.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem wydawnictwa „Awangardy" ukazał się zbiór szkiców politycznych Jerzego Drobnika p. t. „Przesilenie współczesnej polityki" (Skład główny w księgarni św. Wojciecha). Notujemy na razie pojawienie się książki, pomówimy o niej obszerniej.

*

Nakładem Związku obrony Kresów Zachodnich ukazała się książka Kazimierza Kierskiego p. t. „Pomorze polskie. Sprawa tak zw. korytarza". Autor uzasadnia agumentami geograficznemi, historycznemi, etnograficznemi i gospodarczemi przynależność Pomorza do Polski. Rzecz ta zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Przydałoby się jej tłumaczenie na języki obce.

*

Firma nakładowa Gebethnera i Wolffa przystąpiła do nowego wydania cennej książki Ignacego Chrzanowskiego „Dzieje literatury Polski niepodległej". Będzie to wydanie rozszerzone i ozdobione ilustracjami. Ze względu na doskonałe uposażenie wykładu w materjał tekstów, tak mało dostępny szerszemu ogółowi, dzieło to ma nieoszacowaną wartość dla każdego domu, nie tylko dla kształcącej się młodzieży.

*

Nakładem zasłużonego Towarzystwa Miłośników historji i zabytków m. Krakowa ukazała się jako 66 tomik „Bibljoteki krakowskiej" rozprawa p. Kazimierza Lepszego p. t. Oblężenie Krakowa przez arcyksięcia Maksymiljana". (1587). Autor przedstawił w niej walkę kanclerza Zamoyskiego z wybranym przez stronnictwo austrjackie na tron polski, w czasie trzeciej elekcji pojagellońskiej, arcyksięciem Maksymiljanem. Była to walka zdrowego instynktu narodowego z grożącą nam nową falą niemieckości, którąby zapewne pociągnął za sobą wybór Habsburga na tron polski. Od wyniku tej walki zależało w dużej mierze, czy Polska wprzęgnie się w rydwan polityki habsburskiej i zejdzie do roli pasywnej, czy też będzie w aljansie z Szwecją, wielką aktywną siłą w walce dwóch obozów ówczesnej Europy, habsburskiego i antyhabsburskiego. Rzeczą bardzo znamienną jest że elekt, arcyksiążę Maksymiljan, był koadjutorem w. mistrza zakonu krzyżackiego, tego samego zakonu, z którym toczyła Polska tylowiekowy bój o ujście Wisły. Książkę p. Lepszego zdobi szereg współczesnych a dotąd nie reprodukowanych sztychów.

*

Ukazał się t. X wydawnictwa „Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój". Wydawnictwo kasy im. Mianowskiego t. X. Warszawa 1929, str. XXXI, 666 i 4 nlb..

W dorobku „Nauki Polskiej" uwydatniły się dwa główne rodzaje tomów. Jedne posiadają charakter informacyjny, archiwalny i ukazują się okolicznościowo lub w miarę opracowywania posiadanych materjałów, jak np. tomy poświęcone wynikom ankiety o potrzebach nauki (t. I, II, X) lub tomy zawierające pamiętniki zjazdów organizacyjno-naukowych (t. III, VIII), czy też tomy ściśle informacyjne, jak np. t. VII (spis instytucyj i towarzystw naukowych). Drugi rodzaj tomów „Nauki", przejście od praktyki do teorji, obejmuje tomy normalne, odpowiadające swą treścią czasopismu perjodycznemu, którego zadaniem jest badanie życia nauki, zarówno teoretycznie (socjologja nauki, psychologja twórczości naukowej, historja organizacji nauki), jak i praktycznie (rozważanie zagadnień organizacyjnych nauki, podawanie kroniki życia naukowego i t. p.)

Ostatnio wydany tom X „Nauki Polskiej" — to księga o 700 stronach objętości i bogatej treści. Złożyły się na nią głosy 75 uczonych specjalistów polskich, o potrzebach i stanie nauki naszej u progu drugiego dziesięciolecia istnienia odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Zamyka ona pierwsze dziesięciolecie — okres wielkich braków i jeszcze większego postępu.

Artykuły specjalne, poświęcone poszczególnym dziedzinom i zagadnieniom związanym z nauką, poprzedza ogólny wstęp, charakteryzujący wysiłek dokonany na tem polu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Księgarnia paryska Bernarda Grasset wydała ostatnio cztery tomy pism Leona Daudet'a, pisanych i redagowanych, jak autor powiada, „na wygnaniu". Ta nowa serja prac znakomitego publicysty, powieściopisarza i krytyka wydana została pod następującemi tytułami: *„La Ronde de Nuit"*, *„Les horreurs de la guerre"*, *„Mélancholia"* *„Les pèlerins d'Emmaüs"*. Są to studja z dziedziny krytyki ogólnej, podług określenia autora, obejmujące jednocześnie politykę, medycynę (raczej — biologję ogólną) i literaturę, z wielu względów ze sobą związane. „Polityka, twierdzi Daudet, jest nauką skutków, medycyna nauką przyczyn, literatura, filozoficzna czy narracyjna, jest przedstawieniem życia w jego objawach i przeobrażeniach".

Pierwszy tom tej serji dotyczy rytmu wogóle, rytmu organicznego i intelektualnego i dlatego autor dał mu tytuł *„La Ronde de Nuit"* („Patrol nocny"), arcydzieło bowiem Rembrandt'a jest typem syntezy rytmów i barw. Następne tomy także zapożyczyły tytuły swoje od arcydzieł malarskich (Goyi, Dürera i t.d.), i dotyczą zasad o charakterze podwójnym, organicznym i intelektualnym, które są kierowniczemi zasadami życia wogóle.

Świetne przymioty pióra Leona Daudet'a, ogromna wiedza oraz oryginalność poglądów i niezależność myśli, wszystko to znalazło swój pełny wyraz w tych studjach i szkicach, poświęconych najżywotniejszym sprawom życia i twórczości ludzkiej.

*

Ostatnio ukazała się w handlu księgarskim nowa powieść p. Henry Bordeaux p. t. *„Sous les Pins Auroles"*. Akcja jej toczy się w Alpach, podobnie zresztą jak akcja innego utworu tego samego autora, a mianowicie *„Le Neige sous les pas"*. Na tle natury i potężnych szczytów gór odegra się niemniej patetyczny dramat: Dwóch mężczyzn, ale są nimi ojciec i syn, kocha tę samą kobietę. Ta jednakowoż ani do jednego, ani do drugiego należeć nie będzie.

*

Ramon Gomez de la Serna, głośny a zarazem ekscentryczny pisarz hiszpański, został członkiem honorowym Francuskiej Akademji Humoru (*„Academie de l'Humeur français"*). Do tejże akademji zaproszono z Włoch znanego humorystę Pitigrilli'ego, oraz ze Stanów Zjednoczonych komika filmowego, bardziej jeszcze popularnego, niż wymienieni literaci, Charlie Chaplin'a.

TEATR

„FANTAZY"

W KOMEDYJCE, którą Słowacki posłał do Poznania (1841) po atakach, które go tam spotkały, poeta czyniu stami Szekspira wyznanie: — „Idei? Ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę. Rzecz stworzoną nazywam pomysłem. Z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery"...

Zbyt wiele więc historycy literatury rozprawiają o Krasińskim i pani Bobrowej, których jakoby pokarać miał Słowacki swoim dramatem, nazwanym „Fantazy". Bo tak wygląda, jakby on wziął początek z „figur", a siłą twórczą była zemsta. Twórczość poetycka takiej psychologji nie zna. Naprzód był pomysł dramatu, do niego dobrane były figury. Niewątpliwie te, które były w duszy najżywsze. Fantazemu przeznaczył poeta los niesympatyczny, być więc może widział tam Krasińskiego. Ale w psychice Fantazego jest wiele rzeczy, które Słowacki dał mu z siebie. Być może — Bobrowa. Ale czy to także zemsta? Mam wrażenie, że Słowacki miał wdzięczność dla kobiet, które go ostatecznie nie doszły. Przypuszczam nawet, że w Rzecznickim poeta, pisząc go, widział Stefana Witwickiego.

Naogół jednak w komentarzach do „Fantazego" niepokojący jest sposób patrzenia na kompozycję, jako na dokument biograficzny. W przedstawieniu prof. Kleinera dzieło to zarysowuje się, jako urywek z życia prywatnego poety, urywek opowiedziany dla niepoznaki w formie dramatu. Szczegóły z życia mogą to i owo wyjaśnić, ale dzieło literackie ma swoje osobne życie. U Słowackiego zwłaszcza zapłodnienia były przeważnie literackie, do tego stopnia, że za główny bodziec popędowy w jego twórczości trzeba uważać pasję emulowania z innymi twórcami. Nie było chyba w widnokręgu literackim poety, któremu Słowacki darowałby wyłączność... Był na dzieła obce tak wrażliwy, tyle rodziły w nim pomysłów, że życie potoczne nie mogło o jego duszę konkurować z literaturą.

Historycy literatury pewno wzruszą ramionami, gdy powiem wprost swoje wrażenie z teatru, że w „Fantazym" Słowacki borykał się po literacku z Aleksandrem hr. Fredrą. I tego rodzaju spróbował.

Słowackiemu marzyła się sława Szekspira polskiego. W owe czasy (1841) pisał tak wiele dramatów, że Witwicki, który był z klubu jego zausznikiem, rozpo-

wiadał (co się odbiło echem w „Tygodniku Literackim"), że jeszcze się nie nauczył na pamięć tytułu jednego dzieła, a Słowacki zdążył napisać nowe. Karcono też poetę za szukanie motywów obcych („Beatrix Cenci"), za wybujałość fantazji w obrazach mordu, a głównie że nie z serca i życia tworzy, lecz z wyobraźni. Był to moment w świecie literackim emigracyjnym pewnego pogłębienia perspektywy z widokiem na literaturę w kraju. Przyczynił się w tej mierze Poznań ze swoim „Tygodnikiem Literackim", w którym pisywał Słowacki. Głównie jednak na Słowackiego oddziałało przybycie do Paryża Goszczyńskiego, który z sobą przywiózł atmosferę galicyjską i przyjechał świeży, gdy na emigracji już chorowano z duszności powietrza. Nowy znajomy, poeta ukrainiec, odegrał w życiu Słowackiego znaczną rolę. Słowacki ożywił w sobie poczucie, że jest poetą „ukraińskim" i że tu ma pierszeństwo, jak w grupie litewskiej Mickiewicz. To się rozwinęło później, zadecydowało o treści dalszego ciągu „Beniowskiego". Narazie jednak Słowacki—jak przypuszczam — zainteresował się Fredrą. Goszczyński miał z nim na pieńku, nie zapomniał o nim, skoro właśnie w r. 1841 w „Pszonce" ogłosił satyryczny obrazek dramatyczny „Szlachcic z głupia frant", wymierzony przeciwko Fredrze.

W „Fantazym" jest realizm, taki niespodziewany u Słowackiego, i faktura w wielu miejscach fredrowska. Daleko bliżej stąd do Fredry, niż do Calderona, lub Cervantesa o których czytam w komentarzach do „Fantazego". Dlaczegóż szukać daleko, kiedy dla Rzecznickiego jest wzór w Lisiewiczu (przy księciu w „Geldhabie"), w Papkinie. Zwłaszcza „Damy i huzary" mogły pobudzić do wysiłku, żeby pokazać, ile więcej może zrobić dobry poeta na scenie, jeśli się ją podniesie na wyżyny odpowiednie. Fredrze zarzucili, że pisze schematy bez barwy narodowej, że nie jest demokratą. Słowacki zachował swój poziom literacki, ale zacięcie komedjowe Fredry musiało mu zaimponować. Nie mógł się obejść bez postaci Majora („Damy i huzary", Geldhab"). Ale skąd go wziąć na Podolu? Przybył z dalekiego wschodu do Respektów ze swoim Baszkirem, jak Major w „Damach i Huzarach" do Orgonów ze swoim porucznikiem Edmundem. Tam także córkę Zofję mają wydać za bogacza, a córka kocha się w poruczniku, który tak samo jak Baszkir (Jan) gdzieś ratował życie jej i rodziny. Major i tu i tam rozwiązuje problemat. I tu i tam kapłan. O porwaniu też mowa. U Słowackiego kochanek chowa pierścionek, u Fredry wstążeczkę.

Oczywiście u Słowackiego wszystko, jak zawsze, ma tendencję, żeby nie tylko było czemś realnie, ale żeby znaczyło coś więcej ideowo. Przymieszał pierwiastek Sybiru, haseł demokratycznych, krytyki romantyzmu pięknoduchów i w związku z tem napięciem ideowem rzecz nastroił na tragikomedję.

Należałoby to głębiej uzasadnić; wypowiadam tylko swoje wyczucie, że taki był wpływ literacki. Chciałbym ten wpływ widzieć, zbyt bowiem oderwany od życia kraju jest obraz naszej emigracji.

„Fantazy", odegrany w teatrze Narodowym, pomimo swoich 88 lat, był młody, nie raził historycznością. Polska dzisiaj, nawet w sferach górnych, składa się z reprezentantów paru stuleci. Mamy i dzisiaj, zwłaszcza na wchodzie „Fantazych", Idalje, Rzecznickich. Może lepszych mamy techników sztuki scenicznej, niż Słowacki, ale zato spragnieni jesteśmy rozkoszy słowa, któremi nikt po Słowackim nie darzył w tej mierze.

Wydaje mi się, że p. Osterwa, jako rezyser, dobrze pojął, iż wystawić trzeba Fantazego nie fantazyjnie, jak ci i owi mu doradzają, lecz realistycznie, jak komedję Fredrowską. Dekoracje p. Drabika są piękne i dobrze harmonizują ze sztuką. Gra artystów najlepsza, na jaką stać teatr w Polsce, dość powiedzieć: Osterwa (Fantazy), Solska (Idalja), Węgrzyn (Jan), Solski (Rzecznicki), Rotterowa (hr. Respektowa), Chmieliński (major), Halska i Majdrowiczówna (córki), Staszkowski (hrabia), Skarzyński (ksiądz).

B. B.

WYSTAWIONA w teatrze Polskim farsa Marjana Hemara (aktora z „Qui pro Quo") „Dwaj panowie B" (BB) jest dowodem, że zachwiała się granica między kabaretem i sztuką dramatyczną. Teatr zwątpił o sobie, skoro przyjmuje walkę ze swoim wrogiem na własnym terenie, słodko poddając się okupacji.

Czy to jest zwycięstwo gustów ulicy, czy też ustępstwo polityczne teatru dla autorów pod naciskiem konjunktury? Bo p. Szyfman w obu swoich teatrach daje sztuki z posmakiem „marszelikowskim".

„Dwaj panowie B" z natury swojej kwalifikują się do repertuaru kabaretowego; teatr zyskał sztukę tylko dlatego, że jest zadługa dla scenki mozajkowej.

Należałoby się jednak namyśleć, czy teatr dobrze robi, wyjałowiając glebę sztuki dramatycznej.

Z. W.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA POŚMIERTNA ST. NOAKOWSKIEGO

CZY my, społeczeństwo polskie, zdajemy sobie dostatecznie sprawę z tego, czem była i czem na wieki w polskim dorobku cywilizacyjnym pozostanie — twórczość Stanisława Noakowskiego? Czy my zdajemy sobie dostatecznie sprawę, że przed kilku zaledwie miesiącami żył i pracował jeszcze pośród nas jeden z największych, najczystszej rasy artystów, jakich wydał kiedykolwiek nasz naród?

Nawet ci, którzy nie od dzisiaj podziwiają wielkość Noakowskiego, oglądając dzieła jego, zgromadzone na pośmiertnej wystawie w „Zachęcie", doznać muszą poprostu olśnienia. Z taką potęgą, z tak niezawodną wyrazistością wywoływać umieli obraz Polski dawnej tylko najwięksi: Matejko, Wyspiański, Sienkiewicz... Najazdy szwedzkie, moskiewskie, tatarskie poniszczyły ozdabiające niegdyś ziemię polską zamki, pałace, kościoły — często nawet nie pozostawiły z nich kamienia na kamieniu. Aż oto teraz Noakowski nanowo wskrzesił je, nie każdy poszczególnie, ale dając jakgdyby ich syntezę, nie mozołem uczonego pedanta, ale najwyższym autorytetem wizji twórczej. To nie historyk, odtwarzający plany obalonych budowli, ale malarz, który swoje fantazje architektoniczne widział zawsze jako część nieodłączną przyrody, oświecone blaskiem słonecznym, ocienione chmurami, w swoistej skąpane atmosferze. Jakże wspaniały jest królewski szkarłat kobierców na pawimentach komnat zamkowych, jakże majestatycznie lśnią złociste ozdoby bogatych, barokowych ołtarzów!

„Polskość najczystsza skupia się przecież w architekturze polskiej" — pisał kiedyś Stanisław Noakowski. „Polskość najczystsza" zaczarowana jest także w jego dziełach. Czerpmy z niej: niechaj orzeźwia nas ona, niechaj wzmacnia!

K. L.

*

W Olszance, w powiecie Skierniewickim zmarł znany pejzażysta ś.p. Józef Rapacki. Krajobrazy jego, zwłaszcza wielokrotnie powtarzane motywy „Brzóz" i „Wrzosów" zjednały mu szeroką popularność. Prace swe wystawiał najczęściej w warszawskiej „Zachęcie", gdzie w zbiorach muzealnych oglądać można piękny jego „Portret Własny". Zmarły artysta pochodził z obfitującej w talenty rodziny, której głową był znakomity aktor, Wincenty Rapacki.

OFENSYWA

CIOS W PLECY POLSKI

CHWALI się w ostatnim numerze tygodnika „Głos Prawdy“ p. Kaden Bandrowski, że jego „wielki cykl powieściowy“ Czarne Skrzydła, „omawiają bardzo żywo w swych odcinkach literackich pisma niemieckie w Berlinie z *„Berliner Tageblattem“* na czele“... (*sic*). ...„który umieścił sprawozdanie z „Lenory“ i „Tadeusza“ p.t. *„Eine Epopöe des vierten Standes“*.

Chwali się dalej p. Kaden Bandrowski, że artykuły o „Czarnych Skrzydłach“ zamieściły już (*sic*) prócz *„Berliner Tageblattu“*, *„Kölnische Volkszeitung“*, *„Munstersscher Anzeiger“*, *„Nürnberger Zeitung“*, *„Hamburger Fremdenblatt“*, i *„Frankfurter Zeitung...“*

Artykułami nazywa p. Kaden dłuższe notatki. Z tem mniejsza. Nie do przewidzenia tylko był taki pośpiech galopujący reporterskiej anonymowej międzynarodówki w sygnalizowaniu Niemcom wyjścia z druku najohydniejszego paszkwilu, jaki na Polskę kiedykolwiek napisano i jaki obecnie polski autor dostarczył w porę międzynarodowej propagandzie antypolskiej.

Już tedy żywo omawiają niemieckie pisma? Książkę jeszcze nie tłumaczoną? Zaiste takim triumfem błyskawicznym, triumfem na kredyt żaden dotychczas pisarz polski pochwalić się nie mógłby! Dobrze się musiał czyjejś ojczyźnie przysłużyć p. Kaden Bandrowski, skoro w terminie, w którym opinja polska jeszcze nie zapoznała się z jego dziełem, już tyle pism niemieckich z *„Berliner Tageblatem“* na czele to dzieło „żywo omawiają“.

Trzeba się tu będzie zająć twardo i bezwzględnie tym dokumentem czasów i... ludzi. To nie jest wcale taka sobie beletrystyka sezonowa. W tem tkwi patologja całej grupy politycznej. To trzeba piętnować rozpalonem żelazem. I tu trzeba raz uderzyć w alarmowy dzwon ostrzeżenia! Niech tam sobie literaty wypisują o tem swoje widzimisię ze stanowiska artystycznego, estetycznego, formalistycznego. W tem tkwi polityczny problemat i tu została spełniona literacka zbrodnia stanu. Nie pozwolimy na pomniejszenie odpowiedzialności i poczytalności „artysty o wolnych... lotach... szybującej“ imaginacji, brudnej czy nie brudnej. Tu wypowiedział się, zdemaskował się żywy, aktywny człowiek, działacz pewnej grupy w Polsce, jej tuz literacki, jej atut, jej duma. Właśnie oświetlając sprawcę z mocnego reflektora i konstatując potworność tego objawu degeneracji, chcemy wykazać ideowe bankructwo, moralny „przymiot“, bezmiar podskórnej podświadomej nienawiści do polskości tych ludzi; nienawiści, która od czasu do czasu nadspodziewanie wybucha, to w gejzerach skrytobójczej psychozy, to w oszczerczych gazach trujących, to we wściekłych kąsaniach wszystkiego co obyczajowo polskie, to w furji bezczeszczenia tej wiary, która jest narodu najpotężniejszą więzią. Tu niema już co żartować i dowcipkować. To afera djabelnie serjo i nie żadna „tylko literatura“.

P. Kaden - Bandrowski, Xenofont Oleandrów, beletrystamakaronista, panegirzysta, w potrzebie skandalista („Łuk“ i „Barcz“) z kalkulacji sentymentalista („Miasto Mojej Matki“, „W cieniu zapomnianej Olszyny“) uhołobiony przez krytykę, odkarmiony, udekorowany, upstrzony, w fazie największego rozkwitu swoich sił twórczych oraz wytrenowania kawałów i chwytów pisarskich, w zenicie powodzenia partyjnego daje swym rodakom, „rewanżując“ się, dwutomowe dzieło z krwawego błota zlepione, sataniczny, zły, brutalny, bezecny paszkwil na Polaków, na wszystko co polskie, na psychę polską, na rasę polską, specjalnie na rasę polską. *Arrivista* dygocący ambicjami, typowemi u małomieszczańskich parwenjuszów talentu, zdobywających triumfy codziennem, rękodzielniczem, zapoconem zapracowywaniem się, bez jednej uncji marnotrawstwa (częstego u karmazynów literatury), wzorowo chłodny kalkulator... obliczył sobie, że na upragnioną „zagranicę“ przejść może i książeczką rynki ościenne zdobyć najłatwiej jako bezpardonujący, okrutny szkalownik i dyffamator wszystkiego co polskie. Plan kampanji o siebie ułożył sobie i przeprowadził *con maestria*. We wstępie do tłumaczonych nowel sowieckich („Ludzie Jaskiniowi“) przylizał się sowieckim „kolegom“. W Berlinie pokrygował się i pomizdrzył przed Niemcami. Tuż przed wyjściem dzieła dał wywiad nacjonalistyczno-żydowskiemu „Naszemu Przeglądowi“, roztkliwiając się nad literaturą żargonową i nad sobą samym... jak to on do napisania tej powieści jako ten zwykły górnik w czeluście węglowe się opuszczał... w czoła pocie... i t. p. Preparanda świetna! Toż jak Tołstoj w ubraniu „mużyckiem“ idący za pługiem... Ażeby się zaasekurować jeszcze z jednego boku... broszura: „Rzymianie Wschodu“... o Polakach współczesnych... „Rzymianie Wschodu“... Ot i *Polaczyszka maładiec!*

No i wychodzi wreszcie (po takiem wymoszczeniu terenu) „cykl“... epopeja *„des vierten Standes in Polen“*... Kapitał i praca w Polsce... odkrycie literackie zagłębi węglowych, takich samych po tej stronie w Dąbrowie, jak i po drugiej na Górnym Śląsku... 10 minut drogi od Sosnowca do Katowic... Polacy chyba wszędzie jednacy... Kanalja w kanalję i kanalją pogania. Miałkie draństwo, że przy czytaniu świerzbi na rękach z odrazy. To już nie „odzyskany śmietnik“ z dawnych powieści (Barczów) to grzęzawisko, gnojowisko, topiel kloaczana... „Rzymianie Wschodu“ karakony, pająki, pędraki, ropuchy, stonogi, glisty ślimaczące, mszyce, parszywe padalce, wściekłe suczyska, żarłoczna, zła, tępa, dzika swołocz, taka, że nie już „wyć“ z przerażenia, ale po trzysta knutów dawać, wodą lodowatą oblewać, i znów trzysta nahaji a potem piekło niech pochłonie... czy mróz niech zamrozi!... Rekord tedy, wyczyn, „przebój“! „Piekło Dantejskie“... piszą obleśnie oblizując się krytykastry przy żłobach rządowych stojące, kopytami entuzjastycznej djalektyki Polskę kopiący. „Dantejskie Piekło“ rży ostatnio rozhulany Hulka, archihusyta, z zachwytu nad sceną *obsceną*, w której „wściekły kanonik rzymski“ pierze po pysku księdza Kanię, Hodurowca ale świętego, świętego odszczepieńca, co jak ksiądz Baudouin cierpliwie drugiego policzka nadstawia... „Piekło Dantejskie“ ta Polska katolicka, — „najcholeryczniejsza cholera“...

Będzie miała taka powieść polska olbrzymie powodzenie za granicą, za dwiema granicami... to jest w Sowietach i w Rzeszy niemieckiej. Pan Kaden-Bandrowski może teraz usnąć spokojnie na poduszce z laurów bolszewickich i berlińskich wnet już sporządzonej. Osiągnął swoje, osiągnął sukces o jakim mógł tylko zamarzyć drobny małomieszczuszek z Krakowa, o Napoleońskiej ambicji. Jeszcze jej nie znają w Niemczech, nie czytali, nie tłumaczona! a już o niej tyle piszą! Cóż dopiero, gdy ją poznają? Jest ta powieść takiem *panopticum* okropności i straszliwości, bezeceństw i katastrof, sensacyj i drastyczności, ohyd i melodramatów, przesad, uogólnień, przepieprzeń, kłamstw i potwarzy, że podobać się musi. Musi się ten cykl spodobać i tej Europie, która na nas czyha, delikta i mankamenta nasze kolekcjonuje, aby w odpowiednim momencie światu rejestr sprezentować. To o was mówił „sam Marszałek“, a tak o was pisał „następca Reymonta i Żeromskiego“, przez waszą krytykę oficjalną, rządową, pasowany na największego epika sanacyjnej ery.

Będzie miał atoli ten cykl p. Kadena Bandrowskiego wielkie powodzenie w Niemczech i w Sowietach jeszcze z jednego powodu, przez jedną postać w tej powieści, przez niejakiego Coeura, Francuza, pierwszego Francuza skreślonego przez polskie pióro w powojennej naszej beletrystyce.

Ale o tem Coeurze pomówimy osobno.

„Pardon wird nicht gegeben Herr Kaden Bandrowski!!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Redaktor „Szańca“, organu narodowego, poświęconego sprawom wojskowym, pociągnięty przez prokuratora do odpowiedzialności za artykuł, kwestjonujący fakt istnienia zaufania do ministra spraw wojskowych, skazany został przez sąd okręgowy w Warszawie w dn. 16 bm. na rok więzienia. Upłynęło zaledwie parę miesięcy od czasu, kiedy ten sam sąd okręgowy zniósł konfiskatę Komisarza rządu, zarządzoną względem „Szańca“ za ten właśnie artykuł, nie widział bowiem w nim cech przestępstwa. Zmienił się przez ten czas kąt patrzenia sądu.

*

Boy twierdzi w swym artykule z dn. 17 b. m. p. t. „4 akt Świętoszka“, iż świętoszkiem jest Miłaszewski, który zerwał maskę obłudnej sprzeczności wobec niego.

Naszem zdaniem Boy-Żeleński się myli. Wszakże to jego grzbiet, a nie Mił. giął się przymilnie w upartej symulacji przed austrjackim oficerem, jego, Boya, usta, nie Mił. całowały rękę oszukiwanego systematycznie majora. Komedja w stylu „Świętoszka“ odgrywała się właśnie w krakowskim szpitalu z Boyem w roli tytułowej, a ze „zniemczonym czechem“ w roli okłamanego Orgona. Akt czwarty, rozrachunek z Boyem — symulantem, odbędzie się istotnie teraz.

*

Masonerja atakuje: Żydy i półżydy podnoszą gwałt. Marzą im się „dwa zwycięstwa naraz: myśl wyzwolona i moralność rzetelniejsza“. Tak zapowiada w urzędowej „Epoce“ p. Wassercug. Bardzo to ładny widok, kiedy Żydzi uczą katolików „rzetelności“. Uczy taki Żydek: „Bo w trzymaniu myśli ludzkiej na uwięzi przesądu, dogmatu, reguły tradycyjnej pracuje też — szalbierz, obłudnik, kłamca“. Tak się sypią Jerychońskie pociski na mury cywilizacji im niemiłej. Czyż my, a nawet

półpolacy atakują tak dogmaty i tradycje Żydów, czy nazywamy rabinów szalbierzami, obłudnikami, kłamcami? Wassercug dąży w ten sposób na pomoc Boyowi, który właśnie bojuje z rzeczonemi przesądami, propagując pederastję i lesbijskie obyczaje. Boy ma „dobre pióro“, więc użyto go do puszczania „refleksów“, jak powiada towarzysz Wassercug.

„Na ten odcinek puszczamy refleksy, żeby każdy zobaczył, jak się społeczność zakłamała. Wtedy nastąpi „urzetelnienie“ zbiorowego życia na wszystkich odcinkach. Bo o cały front chodzi. O cały front“. My wiemy. O cały front chodziło tak samo Żydom w Rosji. Tam już niema przesądów, tradycyj, dogmatów. Masonerja chciałaby w podobnie radosny sposób Polskę urządzić.

*

Żargonowy „*Wilner Tog*“ pisze: „Brawo! Słonimski! napisał pan dobrą, świetną rzecz. Pokazał Pan nam, jak w lustrze świat sztejnów, zonów, bergów, feldów, półprzechrztów i przechrztów. Zawsze oddzieleni są od nas grubą ścianą. Gdy przyjeżdżamy do Warszawy lub Łodzi, gdy oni przyjeżdżają do Wilna, patrzymy na siebie jak ludzie innej rasy“... „Brawo Słonimski! Codziennie nam trzeba błogosławić Boga, że nie zrobił nas Hertmańskimi. Wy Hertmańscy ze spadkami od handlarzy żywym towarem czy też bez nich... sami sobie wybraliście waszą psią rolę potakiwania i otrzymywania za to nogą. Niech wam z tem będzie dobrze. Zasłużyliście na plunięcie od własnego arcykapłana, od samego A. Słonimskiego. Wy, Żydzi wileńscy z ul. Mickiewicza i Wielkiej, idźcie do Reduty, nie żałujcie paru groszy, warto. Spójrzcie komuzeście w kramikach maturę zdających Hertmańskich powierzyli wychowanie swoich dzieci. Spójrzcie, co się staje z waszymi córkami i synami w rękach Hertmańskich. Dzięki Bogu rosną już i na wileńskim błocie żydowskim Mieczysławowie i Romualdowie. Spójrzcie, ojcowie i matki, co chcecie z nich zrobić, spójrzcie i zadrżyjcie, patrząc na błoto, jakie Hertmańscy wnoszą w wasze domy“.

NOWE KSIĄŻKI

Chłędowski Kazimierz. Królowa Bona. Obrazy czasu i ludzi. Wyd. II przejrzane. Lwów 1929. Zakład Nar. im. Ossolińskich Str. 210 i wiele ilustr.

Koskowski Bolesław. Chcecie rozwoju czy przewrotu? Czyli o kilku błędach prof. Peretiatkowicza oraz o złej doktrynie wszelkich radykalistów. Warsz. 1929. Gebethner i Wolff Str. 128.

Bąkowski Stanisław. Śmierć Adama. Poemat z zarania ludzkości. Poznań 1929. Fiszer i Majewski.

Nakładem księgarni Kroniki Rodzinnej (Warszawa) wyszły:

Archutowski Józef ks. Historja Święta Star. Test.

Wotowska Zofja. Chrystus Król narodów.

Klimowiczowa K. Siostra ludu polskiego i służebnica Jezusa (Wanda Malczewska)

Duplessy ks. Spowiedź a wzgląd ludzki.

Reb. Mocarstwo podziemne. Wyd. V, ilustr.

Skrudlik Miecz. Zamachy na Kościół Katolicki w Polsce. Str. 148.

Nakładem firmy Zukerkandla w Złoczowie wyszły tomiki Bibljoteki Powszechnej nr. 1137 do 1158, zawierające:

Kucharski W. Jan Długosz (życiorysy pisarzy pol. XXI).

Węclewski Tad. Wybór pieśni lirycznych Horacego.

Kraszewski J. I. Staropolska miłość.

Schiller Fryd. Wallenstein i Poezje.

Prąd, miesiecznik. Styczeń i luty 1929. Lublin.

Kietlicz-Rayski Konstanty. Sztuka góralska na Podhalu. Ze wstępem dr. Ludwika Kamykowskiego. Nakładem rodziny. Lublin 1928. Tow. Przyj. Nauk, nr. 3. Str. 72 i 32 plansze.

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój, t. X. Wydawn. Kasy im. Mianowskiego. Warsz.—1929. Str. XXXI, 666 i 4 nlb. (Cena 18 zł.).

Jeleńska Emma. (Dmochowska). Dwór w Haliniszkach. Powieść współczesna. 2 tomy. Warsz. 1929. Dom Książki Polskiej.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie **17**, rocznie zł. **32**, za granicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P.K.O. **3.105**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM